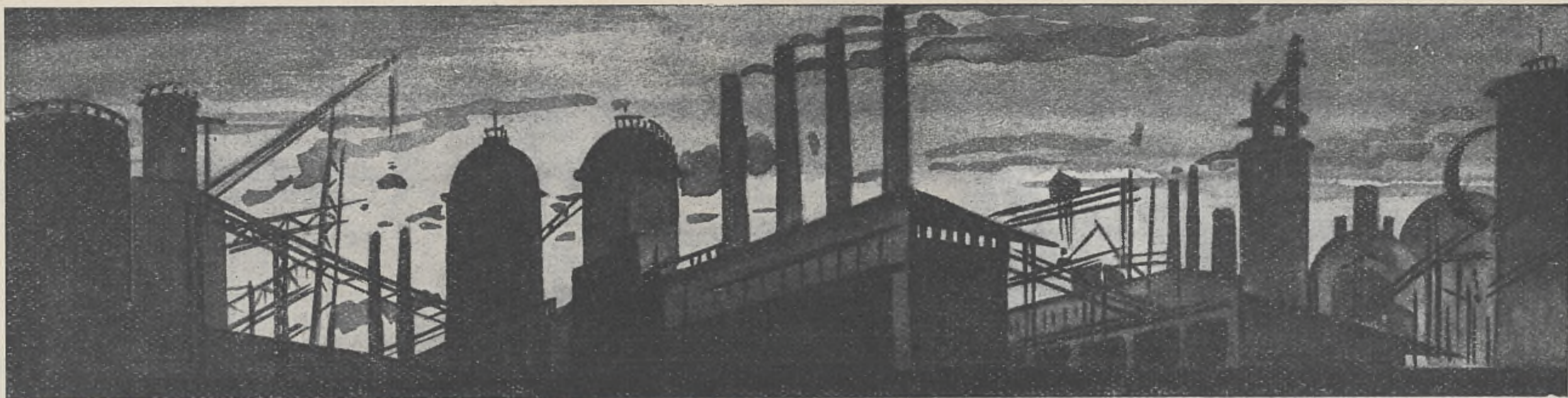
7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



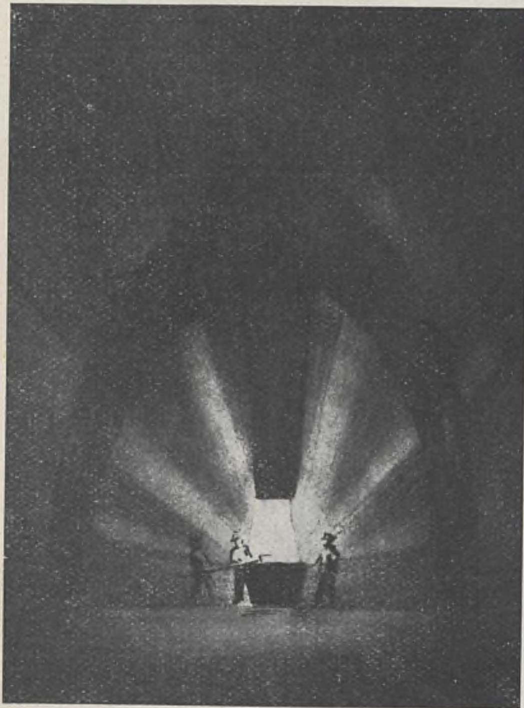
UFF!.. JAK GORĄCO!.. (fot. (Fox.)



JERZY RADLICZ (rysunki autora)

SYMFONJA ŻELAZA

Poprzez czarne smugi dymu zwolna wyłania się przed oczyma memi Huta. Wielki potwór żelaza o gigantycznym rysunku z splątanych kratownic, o idących w niebo otworach kominów — a wewnątrz tak przyziemny, wypełniony warem rozżarzonych pieców i pracą młotów parowych, wybijających zwolna swe memento. Jakieś bestje apokaliptyczne, o bronzowo fioletowych cielskach, przesuwają się w olbrzymich halach ze złowrogim zgrzytem. Tajemnicze cienie błądzą po budynkach to tu, to tam, zależnie od smug światła idącego z otwierających się pieców. Tysiące słońc wynurza się ze złomów żelaza, żeby zaświecić w mroku, a później nagle zniknąć, zagasnąć. Wrażenie potęguje się z każdą chwilą, człowiek dziwnie kurczy się, maleje, a z transu zachwytu wyrywa go dopiero głos przewodnika, oswojonego już z tem dantejskiem piekłem. Przechodzimy do działu pieców martenowskich. Trafiliśmy na szczęśliwy moment. Oto idzie „siarza", koło nas przesuwają się żórawie i „krany", ładujące do pieca żelazny surowiec. Co chwilę otwiera się czeluść ogniem ziejąca i wchłania stare żelastwo. Raz za razem żóraw jeżdżący na ruchomym suficie podjeżdża do „malutkiej" półeczki, na której stoją uszeregowane wanienki, wypełnione materjałem, przeznaczonym na stop. Ze strasznym zgrzytem machina ta wyciąga

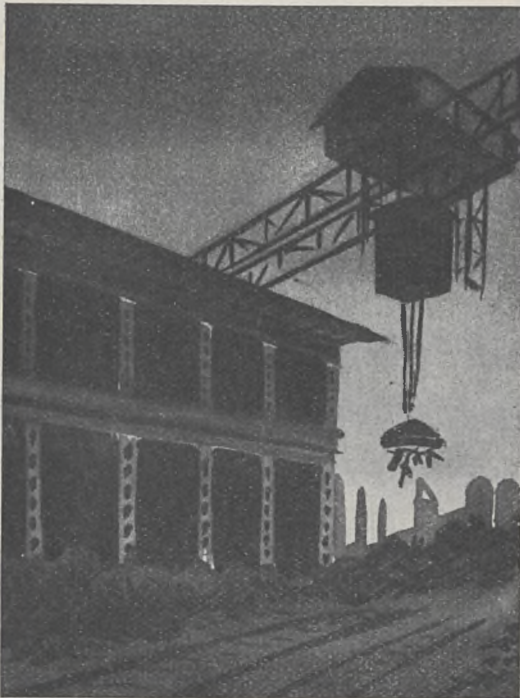


Młot parowy.

łapczywie swe ramię, chwyta jedną z owych wanien i wjeżdża z nią do otwierającego się pieca. W tej chwili bucha na nas straszliwy żar. To jedno ze słońc okazało swe oblicze. Ramię dźwigu zwolna wsuwa się do tej kipiącej otchłani, porusza coś wewnątrz, cofa się i znowu zdąża ze łbem schylonym w stronę pieca, wysuwa wkońcu dymiące swe ramię z opustoszałą wanienką. Znów obrót maszyny ,żóraw ustawia wanienkę na poprzedniem miejscu, aby schwycić jej towarzyszkę i skręcić do pieca — powtarzając poprzedni swój manewr. Tryby pracy związane są jak w zegarku...

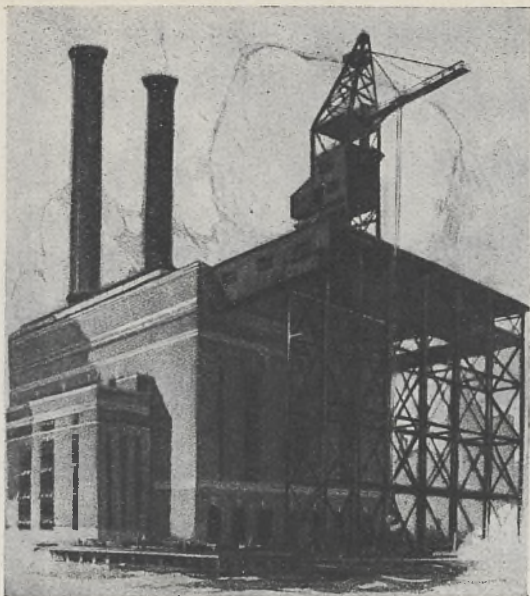
Inspektor przechodzi od jednego do drugiego pieca; uzbrojony w fioletowo niebieskie szkiełko, co chwila zagląda przez mały otwór do wnętrza, głaszcze żar okiem, jakby błagając swego pupila o dobry stop. Robotnicy, jak figury szachowe, mają wyznaczone miejsca i automatycznie wykonywują swą pracę. Z ust inspektora pada dziwnie dla nas niezrozumiały rozkaz. Z szeregu ludzi występuje giser i długą łyżką wybiera z pieca „próbę" stopu. Wyciąga z żaru śliczną łyżeczkę i zawartość jej wlewa do formy podłużnej, podobnej do cholewy od buta, złożonej z dwóch części. Po paru sekundach chłodzenia, sztabka rozpalona do białości zostaje ujęta szczypcami i przeniesiona na kowadło celem sprawdzenia jakości materjału, otrzymanego ze stopu. Biedny kawałek żelaza! Ropalany, łapany szczypcami, kuty ciężkim młotem — zahukany przez ludzkie potwory i jeszcze straszniejsze od tych ostatnich podległe im machiny — zostaje następnie sprawdzany „na gięcie". Próba taka, a jest ich kilkanaście z każdego pieca, dostaje swój numer i znak, z chwilą, kiedy sztabka zadowolni wysokie wymagania pana inspektora. Jeśli okazuje się, że stop jest dobry, to wówczas można z drugiej strony „przebić" piec, celem wypuszczenia zeń płynnej „śmietanki" żelaza. Ażeby zobaczyć ów ciekawy proces, pędzimy po żelaznych schodach na drugą stronę pieców do olbrzymiej hali. Tu — nowy widok. Cała hala — usiana symetrycznie poustawianemi formami o różnych kształtach — przypomina mi dziecinne lata i zabawy w babki w piasku. Ujrzałem wnet olbrzymi żóraw z uczepioną doń kufą. Mały ten „garnuszek" podjeżdża do pieca, robotnik przebija otwór w piecu — a żelazo cienkim strumieniem wypływa do podstawionego „garnuszka". Spełniwszy swe zadanie, żóraw przejeżdża ponad formami, zatrzymuje się przy każdej z nich i wypełnia po kolei. Żelazo pryska miljardami iskier... Patrzę z podziwem na ludzi, którzy lewarem normują odpływ „śmietanki". Piekielny żar dochodzi nawet do naszego stanowiska, mimo, że znajdujemy się w odległości jakichś 20 metrów. Imponująca groza... Nie mogę zapanować nad sobą, aby wciąż nie niepokoić głośnymi zachwytami swymi, towarzyszącego mi inżyniera W. Z przyjemnością patrzę na wyraz jego twarzy, na której odzwierciadlają się wrażenia, jakie przeżywa. Mam pełną satysfakcję, że nie ja jeden wpadłem w jakieś nieokreślone oszołomienie pod wpływem tego otoczenia: hal, maszyn i gorączkowej pracy. Wtem niby piorun z jasnego nieba uderza nas snop światła tak silnego, że natychmiast trzeba było zamknąć oczy. To kufa z płynnem żelazem oddała swą zawartość formom, poczem zostaje przechylona i oczyszczona z osadu kamienia szlakowego, przy pomocy długiego prętu. Odłamki szlaki, koloru czerwono-białego wypadają nazewnątrz. Żałuję w tej chwili, że nie wziąłem farb, aby móc choć plamami zanotować sobie koloryt i grę świateł, układających się w cudowny sposób na postaciach ludzi, zajętych przy oczyszczaniu. Długie cienie, za każdem ich poruszeniem, tajemniczo błądzą po hali, załamując się na napotykanych na drodze swej przedmiotach. Dużo jeszcze efektów możnaby z tej odlewni podkreślić, lecz muszę się streszczać, zostawiając miejsce na opis walcowni i wysokich pieców (Morgana), które mamy zwiedzić.

Walcownia przedstawia się nam jak śliczna aleja, na której rzędami, miast drzew, stoją gorące jeszcze formy. Żar piecze ze wszystkich stron. Mężnie kroczymy naprzód... Oszołomieni jesteśmy od progu zgrzytami, jakiemiś świstami i hukiem walących młotów. Po przejściu próby ognia, dostajemy się do sali — tortur. Stalowe walce, piły, młoty olbrzymie, spełniają tu swoje funkcje. Jęczy żelazo i wije się jakby z bólu. — To rozum ludzki wydobywa tu z materjału formę już skończoną. Rozpalone bloki żelaza podjeżdżają na ruchomej podłodze pod cały szereg walców — przekrój bloków zaczyna się stopniowo zmniejszać, wydłużać się, maleje w oczach, — wkońcu zmienia się w długą sztabę, którą następnie krają piły na mniejsze długości, aby znów puścić poszczególne sztabki pod szereg maszyn, z których wychodzi już żelazo w formie kątowników, dwutcówek etc. — Opodal pracują maszyny, ciągnące drut. Tu znów w... jakby z wściekłą siłą gniotą podsunięte szt... prasują je na coraz to cieńsze. Wychodzący z walca drut, chwyta szczypcami oczekujący nań robotnik i biegnie z nim tak szybko, aby przypadkiem drut nie skręcił się. Tu fakt godny zanotowania: robotnik taki ma na nogach drewniane sandały, biec musi z zupełną pewnością siebie, gdyż każde poślizgnięcie się spowodowałoby jeśli nie śmierć, to kalectwo — i pracując tak nie zdaje sobie sprawy z tego swego niezwykłego przyzwyczajenia i świetnej orjentacji. Następnie drut wsuwa się w odpowiednie rury, któremi biegnie na czekające nań bębny wirujące, które z szaloną szybkością nawijają go. Po nawinięciu odpowiedniej długości, bęben taki podnosi się i wyrzuca zwój nawiniętego drutu na rodzaj szerokiej rynny, która mając ruchome dna, transportuje go dalej, już gotowy do użytku praktycznego. To walcownia. — Przechodzimy później do hali młotów parowych. Ogarnia nas lęk. Dzikie, olbrzymie maszyny, kształtem swym przypominające gilotyny, o czarnem



Dźwig.

oku kowadła w otoce światła, wyłaniają się z mroków. Badam ich fizjognomję. Charakterystyczne linje; brutalność i siła — i chociaż nie widzę na razie ich działania, wyobrażam już sobie aż nadto dokładnie, jak taki potwór obchodzi się z materjałem, który musi wygładzić. Kilkunastu ludzi obsługuje każdą taką bestję, uwijają się szybko, podstawiając na kowadło rozżarzone żelazo w formie dużych foremnych brył, jajowatego kształtu. Jedno przesunięcie lewara w tej machinie, świst, połączony z głuchem uderzeniem w kowadło i bryła rozpłaszczona zostaje na koło. Młot podnosi się znów, celuje, jakby badał wrażenie, jakie wywołał na pognębionem żelazie, — następują potem wściekłe, raz za razem idące uderzenia, aż iskry pryskają na wszystkie strony. Efekt tej pra-



Fragment huty.

cy nadzwyczajny: koło wagonu kolejowego prawie gotowe. Zabierają je odrazu do tokarni, a tymczasem na kowadło żóraw podnosi już nowego żelaznego delikwenta, jakby smokowi tej potężnej maszyny na nową ofiarę. Zobaczyć mamy jeszcze wysokie piece t. zw. Morgan. — Zdaje nam się, że w głowach mamy setki młotów, szybko więc opuszczamy halę, żegnani, jak na ironję, coraz to słabszemi uderzeniami, które w końcu zupełnie milkną. Widocznie przerwa w pracy. Po wyjściu na powietrze, roskoszny chłód nas ogarnia, człowiek zaczyna oddychać pełną piersią, mimo, że dym z pyłem połączony unosi się tu wprost całemi kłębami. Jest to jednak raj, w porównaniu z ciężką atmosferą poszczególnych oddziałów huty, gdzie słowa „duszno" i „gorąco" są małemi krabami w stosunku do określenia rzeczywistości.

Wyobraźmy sobie na wysokości około 30 metrów, siedzącą postać olbrzymiego wyjącego psa z podniesionym do góry łbem i naprężoną szyją — będziemy mieli wówczas rysunkowe pojęcie sylwety wysokiego pieca. Wzrok nasz sięgnął szczytów, obecnie zsuńmy go o parę metrów niżej — tu splot kratownic tworzy krużganki o dziwnym zarysie; cały szereg schodów żelaznych i drabin widnieje na tle nieba, przybierając powyginane, fantastyczne kształty. Znakomity temat do sztychów Franck'a Brangwyn'a. Działanie tych wysokich pieców jest identyczne z pracą odlewni, którą widzieliśmy na początku naszej wycieczki. Zaznaczyć tylko należy, że płynne żelazo spływa tu strumieniem na rodzaj tarasu, gdzie rozlewa się w różnych kierunkach, wypełniając płaskie formy, odciśnięte w piasku i tutaj zastyga. Czas już opuścić gościnne zakłady hutnicze. Z żalem zdążamy ku wyjściu i podporządkowujemy w myśli cały ten szereg wrażeń, tak szybko zdobytych.

Żegna nas osłoniona dymami Huta ostatnim obrazem: oto przed nami mknie cały szereg wagoników, naładowanych sztabami żelaza. Jedzie żelazo już gotowe do użytku, kryjąc w sobie tajemnice ognia i mąk, które przeszło, — zimne teraz, spokojne, nieruchome.

Może jednak znów kiedyś w postaci starego żelastwa, wróci ono do Huty i podda się wszystkim wyżej wspomnianym procesom, ażeby się na nowo odrodzić.



Symfonja pracy.



Ostatnie rekordy lotnicze

Porucznik Apollo Soucek pobił ostatnio rekord wysokości wzbiwszy się na 12.000 metrów. Na naszej fotografji (z prawej strony) widzimy dzielnego lotnika w rozmowie z admirałem Moffetti.

Na fotografji z lewej strony widzimy drugiego przedstawiciela włoskiej aeronautyki, majora Maddalena, współuczestnika tragicznej wyprawy Nobilego do bieguna północnego, który pobił dotychczasowy rekord świata długości lotu. Major Maddalena (w combinaison) osiągnął 67 godzin, 50 minut lotu bez lądowania.





Hej, bracia — sokoły, dodajcież mi sił!...



Druhny jugosłowiańskie.

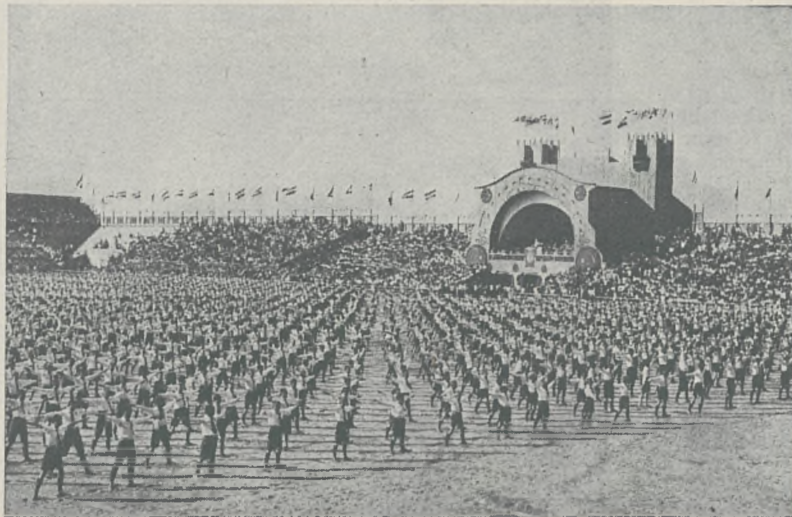
ANTONI BOGUSŁAWSKI.

Wszechsłowiański zlot sokoli w Belgradzie

Od czasu wielkich twórców idei sokolej—Czechów Tyrsza i Fuegnera, t. j. od siódmego dziesiątka lat ubiegłego wieku, sokolstwo poczyniło olbrzymie postępy. Ogarnęło całe Czechy ze Słowaczyzną, Polskę, Serbję i Chorwację, Łużyce, wyszło po za granice tych krajów wraz z emigracją, tworząc skupiska sokole w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, Francji i Niemczech, pociągnęło do swych szeregów pozbawionych ojczyzny emigrantów, jak obecni Rosjanie. Nic dziwnego. Idea sokola — to wprowadzenie w czyn zasady harmonji duchowej i cielesnej w rozwoju jednostki oraz narodu. To ujęcie się za godność Słowiańszczyzny wobec jej odwiecznych wrogów. To skupienie pierwiastków patrjotycznych narodu do walki z wynarodowieniem, obojętnością, kosmopolityzmem.

W ruchu wyzwoleńczym podbitych narodów słowiańskich, sokolstwo odegrało niepoślednią rolę. Największą — w Czechach, w których przoduje dotąd liczebnością i znaczeniem, następnie w Polsce i Serbji. Ogółem — ogniskuje obecnie w swych szeregach kilka miljonów druhów, i druhen, jednolicie zorganizowanych, podobnie ćwiczonych; hołdujących zasadzie: „W jedności — siła" i „W zdrowem ciele — zdrowy duch".

Próby połączenia sokolstwa w związek słowiański czynione były w zeszłem stuleciu. Na przeszkodzie stanął ówczesny charakter panslawizmu, w koncepcjach swoich opierający się o państwową



Na stadjonie zlotowym w Belgradzie.

Rosję, która idei sokolej nie pojmowała i wypaczała ją w swych nieudanych próbach. Dopiero po wojnie światowej udało się zrealizować na stałe związek sokolstwa słowiańskiego. Promotorem tej idei był prezes sokolstwa polskiego, Adam hr. Zamoyski, i akt związkowy podpisano w r. 1923 w Warszawie. Do związku wstąpili, jako członkowie — założyciele: Czechosłowacja, Jugosławja, Polska oraz Rosjanie na emigracji. Trzy pierwsze związki państwowe reprezentują całość sokolstwa w swoich krajach. Tak więc olbrzymia większość Słowiańszczyzny jest dziś zorganizowana w trwałą jedność.

Od tego czasu odbyto kilka już zlotów wszechsłowiańskich, z których dla nas pamiętny jest szczególnie zeszłoroczny zlot w Poznaniu, podczas Powszechnej Wystawy Krajowej. Wzmógł on znacznie wpływy polskie na terenie sokolim, oraz w międzynarodowej federacji gimnastycznej, w której sokolstwo nasze bierze żywy udział.

Zlot tegoroczny, belgradzki, którego główne dni przypadają na 26 — 30 czerwca, ma dla sokolstwa wogóle, a dla Jugosłowian w szczególności, nie mniejsze znaczenie. Jest on niejako symbolem zjednoczenia jugosłowiańskiego wokół tronu Karadżordżewiczów. W roku bieżącym bowiem sokolstwo jugosłowiańskie zostało zreorganizowane, i w miejsce dotychczas istniejących odrębnie: „sokoła" serbskiego, chorwackiego i jugosłowiańskiego — powstał „Savez Sokola Kraljevine Jugoslavije" z następcą tronu, jako prezesem *ex - officio* na czele. Związek ten objął wszystkie agendy wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego w całem królestwie.

Sokolstwo słowiańskie z pewną nieufnością przypatrywało się przeprowadzonej reformie. Obawiano

(Dokończenie na str. 16-tej)



Pan Prezydent Rzeczypospolitej wita dzieci z przedszkoli wojskowych w Wilnie.

WŁADYSŁAW LUDWIK EVERT.

Na progu życia...

Zdawszy egzamin dojrzałości, stajemi na progu życia...

Oczywiście — wejść w życie, w barwne, nęcące tysiącem możliwości, najeżone tysiącem niebezpieczeństw, radosne i ponure, twarde, okrutne, bezlitosne, a tak kuszące, tak pełne zewów przemożnych, życie współczesne wejść można i bez matury. Więcej — można je przejść całe — wypić do dna, przeżyć bez reszty, bez tego kawałka papieru świadczącego wszem wobec i każdemu z osobna, kto wiedzieć tego zapragnie, że p. XY przez gremjum upoważnionych pedagogów uznany został za dojrzałego, dojrzałego do życia i do wyższych studjów na akademickich uczelniach.

Nie mniej jednak matura jest progiem życia. Życia — jeżeli nie przez duże „Ż" — na to przyjdzie czas później... znacznie później — to, powiedzmy, przez „ż" średnie — gdyby takie istniało w alfabecie.

A dzieje się to z wielu powodów.

Przedewszystkiem kończy się okres pewnego — dla młodych, hardych swą młodością i buńczucznych swym wiekiem kiężkiego — rygoru szkolnego, miast którego przychodzi upragniona, duża stosunkowo, wolność. Po za tem i w pojęciu własnem, i w poglądach otoczenia następuje pewien przełom: wczorajszy „uczeń" niemal „sztubak" staje się odrazu prawie akademikiem, a bądź co bądź człowiekiem „dojrzałym", a przełom ten znajduje i znajdować musi swój wyraz w stosunku do wczorajszego uczniaka — jutrzejszego akademika. Po trzecie wreszcie, świadectwo dojrzałości otwiera wiele drzwi, umożliwia niejedno, do wyższego uprawnia. Ci, którzy do wyższych uczelni nie pójdą, uzyskaniem świadectwa dojrzałości zakańczają budowę zasadniczej platformy, zasadniczej odskoczni całego dalszego życia. Pozostali zakańczają również okres nauki, zaczynając okres „studjów wyższych" — i dla nich świadectwo dojrzałości jest ostatnim szczeblem, po którym zaczyna się już studjowanie przyszłego zawodu — zawodu, któremu się ma poświęcić życie, który ma życie wypełnić, na pełnienie którego ma zejść lwia część całego życia.

Jest pewien ostrzegawczy symbol w tem, iż stałe zajęcie życiowe nazywamy naszym zawodem. Bowiem często — niestety bardzo często zawód nasz jest naszym życiowym zawodem; a nie ma bodaj straszniejszej rzeczy niż zawieść się na tem, co wybraliśmy jako permanentną pracę życia. Nie kochać swego zawodu, nie oddawać mu się z radością, z zamiłowaniem, to jedna z najcięższych, najdotkliwszych plag życia. Życia, którego powtórzyć nie sposób.

Ilekroć patrzę na młodych maturzystów nie mogę się obronić przed uczuciem pewnej troski i trwogi. Młodzież jest nietylko skarbem Narodu. Więcej — jest przyszłym, rychłym Narodem obejmującym rządy i władztwo nad największą schedą pokoleń: Państwem. Młodość jest największem szczęściem — jest zuchwała, pewna siebie — wie wszystko, może wszystko, kusi się o wszystko — a jest zarazem szczenięco naiwna, nieopatrzna i lekkomyślna. Myśli nawięcej o tem co ją *jeszcze* nie powinno obchodzić, najmniej, najlżej o tem, co stanowić winno jej sprawę najistotniejszą.

A sprawą taką, właśnie, jest wybór przyszłego zawodu.

Do zagadnienia tego młodzież podchodzi dość niedbale. Życzenie rodziców — częściej jeszcze jakże nieodpowiedzialny podszept z zewnątrz, pozorne, nieprzemyślane zainteresowanie, ułudne wyobrażenie kierowane na podstawie drobnych przejawów — oto motywy decyzji, która ma zaważyć na całym dalszym życiu.

Wstąpienie na wyższą uczelnię przesądza w 80% o życiowym zawodzie. Zmiany są już trudne, dość bolesne, zwracane ze stratą rzeczy do nieodrobienia — stratą czasu. Okres między maturą a rozpoczęciem studjów wyższych jest ostatnim, danym do spokojnego, rzeczowego, głębokiego namysłu.

I oto teraz — teraz gdy zakończone są egzaminy dojrzałości, gdy tysiące młodzieży wkracza w życie, chciałoby się wołać wielkim głosem: Zastanówcie się dobrze, pomyślcie pilnie a głęboko. Obecny krok decyduje o życiu — o tem czy będzie wam praca ciężarem czy radością, czy iść do niej będziecie z zamiłowaniem, czy z niechęcią. Pomyślcie: czy może być coś straszniejszego niż nienawidzieć własną codzienną pracę — coś szczęśliwszego, niż to, gdy jest ona źródłem codziennej radości.

W życiu niema zajęć złych i dobrych. Zawodów małych i dużych. Jest praca, którą kochamy, którą pełnimy z zamiłowaniem — i trud, wobec którego jesteśmy obojętni lub którego nie znosimy. Los nasz, w dużym, bardzo dużym stopniu zależy od naszego stosunku do życiowego zajęcia.

Nie chciałbym tu wchodzić na koturny społeczne — podkreślać, że tylko ci pracownicy, którzy kochają swą pracę, tworzą potęgę państw i moc Narodu — ograniczam się do podkreślenia znaczenia *osobistego, prywatnego* dla każdego człowieka, jego stosunku do własnej zawodowej pracy.

Ostatni okres decyzji nadchodzi. Nawet buńczuczna, pewna siebie, harda swą młodością, mocna własnem nieopatrzem zuchwalstwem młodzież, powinna się zdobyć na ostrożność, tak jej obcą, przezorność rozważenia i zbadania własnych uzdolnień i zamiłowań, zważenia cech swej natury — rozpatrzenia, zanalizowania życiowych zawodów, trudności i wysiłków z niemi związanych, by wybór fachu, wybór zajęcia, któremu ma oddać wysiłek życia, stał się wynikiem przemyślanej, świadomej decyzji a nie impulsu, nie dziecięcej fantazji, czy kaprysu.

Polska potrzebuje pracowników oddanych z zamiłowaniem swej pracy. Każdy człowiek potrzebuje pracy, którą by kochał, którąby była źródłem radości życia. Niema bowiem nic groźniejszego dla społeczeństwa, jak falanga zgorzkniałych, niezadowolonych, zawiedzionych ludzi, ludzi dźwigających swą pracę jak brzemię niesnośne. I niema nic dotkliwszego dla jednostki, jak praca, której nie kocha, którą nie umie się cieszyć.

Bije godzina dwunasta. Godzina decyzji. Decyzji przesądzającej w dużym stopniu o radości dalszego życia.

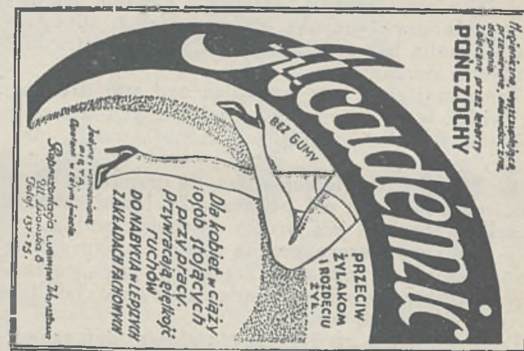
Więc myślcie, myślcie dobrze, myślcie uważnie. Chodzi o dobro waszego życia

Tajemnica odżywiania

W dzisiejszych czasach, kiedy życie znalazło się pod znakiem wyczynów sportowych i najracjonalniej postawionej hygjeny, zagadnienie właściwego odżywiania się stało się kwestją najbardziej palącą. Okazało się, że podstawowemi środkami odżywczemi winny być te, które przynoszą organizmowi najwięcej skoncentrowanej pożywki, bez zbytecznego i utrudniającego pracę tłuszczu. Drugim ważnym aksjomatem jest to, że najzdrowszem jest pożywienie, konsumowane z apetytem. Tem się tłomaczy popularność, jaką się cieszą norweskie sardynki i śledzie. Dzięki swym wysokim wartościom odżywczym, są one prawdziwie smacznym i zdrowym posiłkiem, czem zdobyły sobie gusta najwybredniejszych smakoszów.







JIM POKER.

LA RAGAZZA

Po kilku pięknych efektach świetlnych, przypominających ognie bengalskie z ostatniego aktu Walkirji, słońce zaszło hen w kierunku Malty, pozostawiając po sobie purpurową zorzę.

Woda z ciemno granatowej stała się niebieska, potem błękitna, z odcieniem różowawym, potem stalowo-szara, potem biała. Od strony zachodu kładły się na niej ciemniejsze pasma, migocąc złocieniami. Ledwo dostrzegalny wietrzyk tu i owdzie marszczył spokojną taflę Śródziemnego Morza.

I nagle coś zmąciło harmonję pejzażu. To coś w postaci kawałka stali Kruppa, średnicy 10, a długości 45 centymetrów, nadleciało ze świstem od strony, w której skryło się słońce, i wpadło do morza nieco za rufą „Duc d'Aumale". Za chwilę wyprysnęła stamtąd wysoka fontanna wody.

— Łódź podwodna, przez sterbort z tyłu! — rozległ się okrzyk z mostku. Zawtórowały mu dźwięki trąbki, grającej alarm.

Towarzyszący nam torpedowiec przestał wyczyniać pracowite kółka na wodzie i pełną parą ruszył ku wrogowi.

— Nareszcie przestanie psuć rządowy węgiel, — mruknął jeden z majtków.

Torpedowiec przeszedł tak blisko, że zobaczyłem wyraźnie przylepionych do lornetek oficerów i usłyszałem słowa komendy:

— Dystans 6000 metrów ,na lewo 5, działa dziobowe...

Tymczasem „Bosz", nie chcąc snać skapitulować odrazu, wysłał nam jeszcze kilka pocisków. Jeden upadł znów o pół kabla za rufą.

— Długi! — zawołał Staś Laskowski.

Drugi pocisk upadł nieco przed dziobem.

— Krótki! Uwaga na następny. Jest nadzieja, że trafi.

Jakoż wyprorokował. Trzeci pocisk ulokował się w burcie okrętu i pękł z hukiem. Wnet trysnął stamtąd strumień białej pary.

W połowie 1917 roku większość marynarzy i żołnierzy Armji Wschodniej była już otrzaskana z niebezpieczeństwem łodzi podwodnych. To też na „Duc d'Aumale" ani strachu, ani nieporządku. Na sygnał alarmowy wszyscy zajęli swe stanowiska.

Ładunek ludzki, jaki „Duc d'Aumale" wiózł z Salonik do Marsylji, był, jak to malowniczo zwą Francuzi — heteroclite. Około 700 żołnierzy najróżnorodniejszego autoramentu i formacji. Byli tam chorzy, lekko ranni, uzdrowieńcy, malaryczni, przeniesieni, urlopnicy. Byli dragoni, strzelcy, tyraljerzy senegalscy i marokańscy, spahisi, żuawi, artylerzyści kolonjalni. Nas, legjonistów z pułku cudzoziemskiego, było siedmiu. W tem dwóch Polaków: Laskowski i ja.

Trzymaliśmy się na uboczu, dumni z tego, że należymy do najwaleczniejszego w armji francuskiej pułku. Do towarzystwa dopuszczaliśmy jedynie kaprala Mahmadu-Fofana, z piątego batalionu senegalskiego. Fofana znany był w całej armji wschodniej jako niezrównany bohater. I tylko dziwny wstręt do praw proroka, zabraniających spożywania alkoholu, był przyczyną, że dotąd nie otrzymał sardynek sierżanta.

Teraz stał obok nas, czuwając nad swą drużyną. Na widok zaś kanonierów, rychtujących armatkę pokładową w kierunku niewidzialnego wroga, mruczał:

— Ty, siedzieć lepiej cicho, ta pukawka. Bosz nie trafić, samemu cel pokazać. Ty lepiej strzelać wesele Mahmudu, jak wrócić — wielka wojna.

— Zamknij paszczę, czarna małpo — odgryzł się mat-kanonier, przekonany zresztą o bezskuteczności swych strzałów. — Urządzę ci wesele, jak tylko przybijemy do Marsylji.

Bosz, jednakże nastraszony atakiem, dał za wygraną. Widać nie miał już torped, a nie odważył się na pojedynek artyleryjski z torpedowcem. Po godzinie odwołano załogę ze stanowisk alarmowych. „Chasseur" — nasz konwojent — wrócił i znów począł pracowicie wyczyniać kółka, mącąc spokojną powierzchnię morza i psując rządowy węgiel.

Ale na „Duc d'Aumale" nie wszystko było w porządku. Pocisk niemiecki przerwał przewód pompy alimentacyjnej. Uszkodzenie zreperowano tylko prowizorycznie. Trzeba więc było wstąpić do najbliższego portu.

Sfax. Białe domy na tle ciemnych palm. Afrykańskie słońce. Arabowie, wielbłądy, nagie murzyniątka, dywany, kawa, daktyle. Pozwolono nam zejść na ląd.

Wyruszyliśmy w trójkę: Laskowski, Mahmadu i ja. Jak dzieci szperaliśmy po kawiarniach, bazarach, sklepach, zaglądaliśmy do podcieni, targowaliśmy przedmioty, których wartość przekraczała kilkakrotnie nasz wspólny kapitał. Po dwóch godzinach, zmęczeni żarem i wędrówką, postanowiliśmy wracać. I wtedy zaszedł fakt, mogący zaważyć na szali mego żywota.

Na zakręcie jakiejś uliczki spotkałem Ją.

Szła wsparta na ramieniu lekarza wojskowego, lekko i płynnie. Miała na sobie muślinowy biały strój, od którego jeszcze cudniej odbijała niezwykła południowa uroda.

Opisać wam tę urodę... Nie. Nie potrafię. Zrozumcie jedno. Okrągłych sześć miesięcy siedziałem w dolinie Wardaru, naprzeciw bułgarskich okopów. Kobiet nie widywałem wcale, z wyjątkiem Amerykanek z Y. M. C. A. Były wszystkie stworzone według jednego szablonu: platfusy, rogowe okulary, końskie zęby, włosy jak konopie. Na zdrowie— ale innym.

A tuziemki? No tak. Greczynki. Grecja — kraj bogów. Biedni bogowie. Wróciliby czemprędzej na swój Olymp, gdyby tak przyszła im teraz ochota poflirtować z ziemskiemi mieszkankami. Afrodyta, Callypso i Piękna Helena spaliłyby się ze wstydu, widząc, jak ród ich wygasł zupełnie.

I oto w całej krasie afrykańskiego słońca stawała przedemną kobieta-bóstwo — szykowna, zwiewna, urocza. Z pod szerokiego tiulowego kapelusza wyglądały czarne angielskie loki. Nóżki jak u sarny, stąpały żwawo po kamiennych płytach. Ręka wsparta na ramieniu majora urągała rzeźbom Luwru. A wielkie, błyszczące oczy spoglądały na mnie z nieodpartym powabem. Stanąłem jak wryty i patrzałem za cudnem zjawiskiem. Zapomniałem nawet salutować majora. I dopiero surowe: — *Eh bien, legionnaire?* — przywróciło mi przytomność.

— No, chodź już — odezwał się Laskowski, na którego płeć piękna nie działała w równym stopniu — jeszcze cię urzeknie.

— Ty dać spokój — odparł Mahmadu. — Kamarad dostać *coup de foudre* [1]). *Mukhere* [2]) dobra bardzo.

Rzeczywiście było to uderzenie pioruna. Zakochałem się od pierwszego wejrzenia, a co zatem, postanowiłem za wszelką cenę poznać przedmiot swej miłości. Nie było to zadaniem łatwem. Nie rozporządzałem bowiem ani potrzebnym ku temu czasem, ani odpowiedniemi środkami.

Ale kiepski żołnierz, co daje się odstraszyć trudnościami.

Po godzinie, dzięki przeprowadzonemu głębokiemu wywiadowi, wiedziałem już, że „przedmiot" jest włoszką, przyjaciółką owego majora — lekarza garnizonowego w Sfax. Stąd, do odnalezienia małej białej willi, był jeden krok tylko.

Nazajutrz rano znalazłem się na stanowisku, pod wysokiem, ozdobną kratą zasłoniętem oknem. Po godzinie nawiązałem łączność, przesławszy sekretnik z miłosnem wyznaniem. Dziesięć minut później otrzymałem na świstku papieru sześć słów, z ośmioma ortograficznemi błędami. Ale zakochani na takie rzeczy nie zwracają uwagi.

Spotkaliśmy się po południu, na wyludnionym bulwarze portowym. Doktór odprawiał zapewne swą sjestę w klubie, a ja płonąłem podwójnie: z miłości i gorąca. Dziw, żem nie roztajał ze wszystkiem.

„Duc d'Aumale" miał odpłynąć nazajutrz rano. Pozostawała jedna noc tylko. Należało więc za wszelką cenę oddalić majora z domu. O spotkaniu poza domem nie mogliśmy marzyć, bo Sfax to mała mieścina, a niema nic gorszego nad kolonjalne ploteczki.

Wróciłem na okręt i spytałem obydwóch kolegów, czy są naprawdę moimi przyjaciółmi.

— My być — odparł z dumą Mahmadu-Fofana, kawaler dziewięciu cytacji i dwóch medalów.

— To się rozumie, — odpowiedział z namaszczeniem Staś.

— Więc słuchajcie... — i wyłuszczyłem im cały mój piekielny plan, wobec którego bladły poczynania Machiavela.

O dziewiątej wieczór rozeszliśmy się na stanowiska. Laskowski w stronę portu, a Mahmadu i ja ku willi doktora. Ukryty za węgłem słyszałem, jak poczciwy senegalczyk wszczął, w myśl moich instrukcyj, piekielny harmider.

— Panie majorze, panie majorze! Ty iść zaraz port. Jedna rybak arabska otruć kapral legja cudzoziemska. Kapral leżeć skała, chora bardzo, bardzo.

Efekt nie dał na siebie długo czekać. Lekarz wyszedł. Mahmadu chwycił skwapliwie podaną sobie walizeczkę z medykamentami i pobiegł przodem. W dwie minuty później, ciężkie okute drzwi otworzyły się przedemną.

Chwilę siedzieliśmy w hallu. Ale pod pozorem, że z ulicy może nas ktoś dostrzec, przeszliśmy do jadalni. W jadalni było znów bardzo gorąco, więc czarnooka włoszka zaproponowała przejść na piętrze sypialnię.

Ale, jak prawi nieśmiertelny Bossuet, — człowiek często błądzi, sądząc, że rzeczy będą się tak miały, jak on sobie tego życzy. Około pierwszej po północy zbudził nas piekielny hałas. Ktoś dobijał się do zaryglowanych drzwi.

„La Ragazza" — takie dałem jej imię — poznała wnet głos swego pana i władcy. Nie było chwili do stracenia. Włożyłem jako tako mundur i przewiesiwszy buciki na sznurowadle przez szyję — skoczyłem do okna.

Piętro było nie wysokie. Chwilę wisiałem na żelaznym krokstynie, potem na parterowej okiennicy. Wreszcie bose stopy z ulgą dotknęły ziemi.

— Mamy ptaszka!

Dwie ciężkie łapy opadły mi na ramiona. Ujrzałem dwóch wąsatych żandarmów, ukrytych we framudze ganku. Z początku wzięli mnie za zwykłego rzezimieszka, wnet jednak nieład mego stroju odkrył im rzeczywisty powód...

— *En bonne fortune?...* — zagadnął sumiasty wachmistrz.

W dwóch słowach wytłómaczyłem, że zalecałem się do służącej majora i prosiłem o zwolnienie. Żandarmi chcieli już mnie puścić, kiedy z okna odezwał się ochrypły głos lekarza.

— Zaprowadzić tego draba do komendy portu. A jutro sam się z nim rozprawię.

Po drodze wachmistrz, *bon enfant*, opowiedział mi przebieg zajścia. O wpół do pierwszej wpadł do komendy portu zziajany doktór i oświadczył, że dokonano na niego zamachu. Jakiś kapral strzelców senegalskich zwabił go pod pozorem pomocy otrutemu legjoniście na sterczącą z morza skałę. Zaledwie doktór dotknął stopą skały, legjonista i senegalczyk uciekli w łódce, pozostawiając go na łasce losu. I dopiero na dawane z rewolweru strzały alarmowe, nadpłynęła szalupa policyjna, uwalniając przymusowego Robinsona. Nie wątpiąc, że chodziło o napad czy włamanie, doktór zażądał pomocy władz bezpieczeństwa, i w ten sposób żandarmi znaleźli się przed willą.

Odetchnąłem. Major nie podejrzewał swojej przyjaciółki o wiarołomstwo. Z tej strony mogłem zatem być spokojny. A byłoby mi przykro, gdyby z mojej winy „Ragazza" cierpieć miała.

W komendzie portu, stawiono mnie przed oficerem inspekcyjnym, młodym porucznikiem marynarki. Na jego rzeczowe pytania odpowiadałem jasno i dobitnie, łżąc, oczywiście, ile wlezie. Całą winę brałem na siebie, dowodząc, że to ja byłem owym chorym legjonistą, a senegalczyk sekundował mi zupełnie bezwiednie, sądząc, że naprawdę jestem chory. W ten sposób ubywało już dwóch współwinnych.

— A co robiłeś w willi majora?

— Zalecałem się do kucharki, poruczniku.

— Major Barbier nie ma kucharki — odrzekł z przyciskiem porucznik, zatapiając w mych oczach swe stalowe źrenice.

Spojrzałem nań błagalnie. Subtelny marynarz zrozumiał snać to spojrzenie, bo napisał coś na kartce i wręczył żandarmowi.

— Udasz się zaraz na pokład — rzekł do mnie.

— Twój okręt odpływa o świcie. A ukarany zostaniesz po powrocie do pułku.

Kiedy zamilkły ostatnie echa okrętowej syreny, a śruby poczęły burzyć wodę u rufy „Duc d'Aumale", odetchnąłem. Widać doktór, przekonany, że siedzę w areszcie, nie śpieszył się z interwencją. Teraz zaś zje djabła, jeśli mnie dostanie.

Zwymyślałem Laskowskiego i Fofanę od niedołęgów. Pierwszy żachnął się, ale drugi począł tłumaczyć:

— Ty się nie gniewać. Jak *tubib* [3]) chcieć jemu włożyć taki duży pompa do żołądek, on zerwać się i uciekać łódka. Ja też uciekać, bo co robić. Potem oddać rybak łódka, wleźć lina na statek i siedzieć cicho. A tubib krzyczeć skała głośno, strzelać rewolwer. Szalupa przyjść i zabrać go...

Ha, trudno. Genjalnie obmyślany plan spalił w części na panewce. Laskowski wyzdrowiał zbyt szybko, a doktór przedwcześnie odzyskał wolność. Biedna Ragazza! Nie zdążyłem nawet zapytać, jak jej na imię, umówić się co do korespondencji. Kto wie, czy kiedy jeszcze będę w Sfax i czy danem mi będzie spotkać czarnooką dziewczynę?

— Może miałem przez przyjaźń dla ciebie dać sobie założyć sondę? — złościł się Laskowski, któremu moje wyrzuty były nie w smak. — Kiedy ty się nareszcie ustatkujesz, babiarzu przeklęty?

— On mieć rację, — bronił mnie Mahmadu-Fofana — „Mukhere" dobra bardzo. Bez niej ciężko żyć świat.

— A z nią jeszcze trudniej, — odparł posiadający wiele doświadczenia życiowego Staś.

W dwa tygodnie później zameldowałem się w kadrze pierwszego pułku cudzoziemskiego, w Lyonie. Stanąłem do raportu przed starym, siwiuteńkim majorem, któremu srebrna napoleonka, staroświecki dolman i szerokie czerwone spodnie nadawały typowy wygląd oficera drugiego cesarstwa.

Dzielny staruszek obdarzony był niezwykłą pamięcią. Poznał mnie też odrazu i przyjął jowialnym uśmiechem, rzadkim przywilejem starych żołnierzy.

[1]) Uderzenie pioruna. [2]) Kobieta.

[3]) Lekarz po arabsku. Nazwa utarta w wojsku francuskiem.

— *Eh bien Kiki* (tak upraszczał zwykle skomplikowane polskie nazwiska) — cóż tam przeskrobałeś w Sfaxie, że jesteś aż przyczyną specjalnego raportu?

A że milczałem zawzięcie, major wziął ze stołu papier i począł czytać:

— „Legjonista taki i taki (tu moje nazwisko), z I-go pułku cudzoziemskiego. 15 dni ostrego więzienia z rozkazu dowództwa placu w Sfaxie. Motyw: nadużył zaufania lekarza garnizonowego i postawił tegoż w nader trudnem położeniu. Wszystko w celu zadowolenia swych osobistych zachcianek".

— *Diable,* — zaklął staruszek. — Nie rozumiem tej urzędowej chińszczyzny. Powiedz, coś przeskrobał?

— *Mon commandant,* — odparłem. — Postarałem się o oddalenie doktora z domu, albowiem sam na kilka godzin chciałem zająć jego miejsce. Reszta to kwestja dyskrecji i zaufania.

— *Il a fait cocu le major de la garnison, ce bougre-la,* [4]) — uśmiechnął się komendant. — Mogliby to napisać poprostu. Marsz do paki! — krzyknął nagle, pokrywając wesołość sztuczną srogością.

Zrobiłem w tył zwrot i wyszedłem. We drzwiach dobiegł mnie jeszcze głos staruszka, rozmawiającego z adjutantem:

— A jednak dzielni ludzie, ci Polacy... dzielni i rycerscy...

Nie wiem, czy La Ragazza myślała to samo...

[4]) Przyprawił rogi lekarzowi garnizonowemu, ten drab...

Koniec karjery księcia wędrowca

Wstąpienie na tron króla Karola II-go jest niebywałą sensacją, której wszystkie pisma na świecie poświęcają całe szpalty i długo jeszcze z pewnością będą komentować ten wypadek.



Karykatura króla Karola II.

Najweselsze stronice znajdujemy aliści na łamach prasy francuskiej, która potrafiła okrasić wiadomości tego zdarzenia politycznego przysłowiowym humorem gallijskim — bez złośliwości, przeciwnie nawet — z niemałą dozą sympatji.

Oto, naprzykład, jedna z miłych dykteryjek o królu:

Do dyrektora wytwórni filmowej zgłasza się scenarzysta, proponując mu zrealizowanie projektu obrazu. Rzecz dzieje się na Bałkanach. Stary król prowadzi naród swój poprzez zagmatwane wypadki dziejowe. Wybucha wojna. Król staje na czele armji. U jego boku dzielnie się spisuje młody następca tronu, zdobywając sobie szeroką popularność wśród ludu. Lecz książę nie pragnie władzy. Skoro tylko zostaje zawarty zwycięski pokój, opuszcza ojczyznę, i porzuciwszy dwór i rodzinę — młodziutką żonę i małego synka, rusza w świat. Podróżuje. Bawi się. Roskoszuje się nieskrępowaną swobodą. Rozwodzi się z żoną i poślubia podobną mu kobietę, żądną swobodnego życia i używania radości doczesnych. Stary król umiera. Książę rezygnuje ze swych praw. Synek jego zostaje królem. Lecz po pewnym czasie książę dochodzi do przekonania, iż szczęście ojczyzny winno być jedynym celem jego życia. Przylatuje aeroplanem. Młodociany król zostaje zdetronizowany. Książę zasiada na tronie. Happy end — pojednanie z porzuconą żoną. Koniec....

— Jakże się panu podoba? — zapytuje scenarzysta. — Czy można liczyć na powodzenie?

— Czy można liczyć na powodzenie? I pan się pyta?! Ależ to nadzwyczajne! Kasa zapewniona, drogi panie. Wojna, dwór, dancingi, aeroplan, erotyzm... Ależ publiczność przepada za podobną sensacją. Toż to jest doprawdy jedna z najbardziej nieprawdopodobnych historyj, za któremi publiczność zawsze przepada...

Nieprawdopodobna... Takiego samego zdania był rzekomo dowódca portu lotniczego w Bourget, skąd książę odleciał pod przybranem nazwiskiem jednego ze swych oficerów.

— Niebywała historja! — zawołał, kiedy wyczytał w pismach, kim był ów kurjer, udający się do Bukaresztu. — Niesłychane, na co też monarchowie mogą się zdobyć, gdy przypną sobie skrzydła...

A księcia, biednego sługę obowiązku, trawić musiały po drodze niewesołe myśli. Bo jeślić miło jest pójść za głosem sumienia, stokroć milszem było beztroskie życie, z którem musi się rozstać na zawsze.

I oto, jakby na złość młodemu monarsze, pisma francuskie przypominają jedną z licznych przygód księcia.

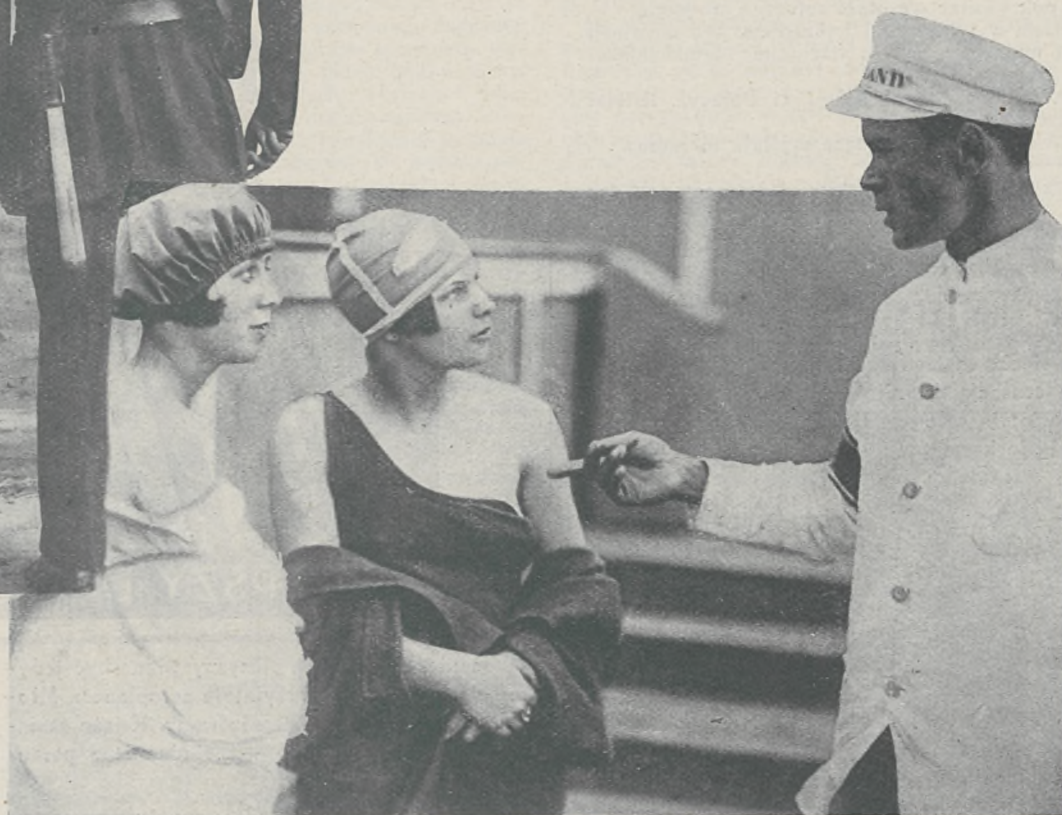
Działo się to w Wenecji, przed wojną. Książę Karol spostrzega na Lido uroczą włoszkę, cud piękności. Zaprasza ją do siebie na kolację, która się przeciąga aż niemal do świtu. Nazajutrz rano książę otrzymuje telegraficznie rozkaz udania się tego samego dnia do Wiednia. Posyła więc na pożegnanie uroczej swej bogdance olbrzymi bukiet róż, wraz z cennym upominkiem. Lecz oto piękna włoszka odsyła prezent, z listem następującej treści: „Miły mój — wasza książęca mość raczyłaś mnie obdarzyć tak *wieloma* dowodami przywiązania, iż to ty raczej, ukochany, powinieneś być moim wierzycielem".

Tempi passati...

Okazuje się jednak, że król Karol II ma godnego następcę w osobie brata, księcia Mikołaja, który, jak mówią, poróżnił się poważnie z królową Marją z powodu pewnej niewiasty i drapnie sobie z ukochaną w świat.

— Cóż to za nadzwyczajni chłopcy! — miała się żalić królowa Marja przed jednym z regentów. — Jeden się uspokoił, a drugi zaczyna. Nowe małżeństwo morganatyczne w naszym rodzie — z kim? Żeby się chociaż Mikołaj ożenił z miss Rumunją!...





Policja paryska ściśle przestrzega „stopnia" roznegliżowania.

Na plaży, na Florydzie, niewolno zbytnio się odsłaniać.

MORDERCZY UPAŁ

Homer, nazywał słońce „Tym, który ciska strzały na wsze strony". Dla nas, szczęśliwych mieszkańców strefy umiarkowanej, którzy nieodczuwają prawie nigdy cierpień, przynoszonych przez gwiazdę dzienną, zwrot ten jest pięknym i pełnym poezji. Grecy jednak, przypisywali tym słowom znaczenie bardziej poważne. Na własnej bowiem skórze, czy to na polu bitwy pod Troją, czy też na wapiennych wyspach morza Egejskiego, odczuli śmiercionośne, złote strzały boga - słońca, który niemiłosiernie kładł pokotem ludzi i dziesiątkował armje. Przypisywali Phebusowi - Apollo wszystkie klęski narodowe i wojenne, niosące panikę i śmierć. Byli przekonani, że szaleństwa ludzi, doprowadzające do wzajemnych walk, gorączka i febra toczące ciała, jątrzące się rany, i nagłe zgony, były skutkiem gniewu palącego boga. I niemylili się starożytni: słońce zabija, słońce doprowadza do szaleństwa.

Fala gorąca nawiedzająca kraje europejskie, jest rzadkością, ale rzadkością, która pozostawia po sobie nigdy niezapomniane ślady. Rok 1911, był rokiem grozy w całej Francji i Niemczech. Przez trzy miesiące letnie, mordercze słońce, paliło nieustannie ziemię i ludzi, którzy niemogli znaleść nigdzie chwili ochłody. Opady atmosferyczne, dochodzące normalnie do 161 milimetrów wykazały zaledwie 31 milimetrów. Miesiąc sierpień, był miesiącem prawdziwej grozy: śmierci i szaleństwa. Upały dochodziły do 40° w cieniu, wzrost śmiertelności wykazał przeciętnie o 300 zgonów więcej, jak w latach normalnych. Kliniki i szpitale, przepełnione były bezwładnemi ciałami ludzkiemi, dotkniętemi porażeniem słońca. Jednakże nie tutaj był koniec cierpień i doświadczeń. Do miast i większych skupowisk ludności zawitał głód i pragnienie. Bydło padało, przyczem trupy zwierząt, pod wpływem palącego słońca, podlegały natychmiastowemu procesowi rozkładu. Olbrzymie pociągi, które przybywały do Paryża i Berlina, przywoziły jedynie zwłoki trzody, zanieczyszczające powietrze cuchnącemi wyziewami. Rzeki wysychały; niektóre mniejsze zamieniły się w wąskie szlamiste strugi, wypełnione zatrutą wodą ze zdechłych ryb. Paryż, który konsumował 400.000 metrów sześciennych wody, nie otrzymywał nawet trzeciej części swego zapotrzebowania.



Drzemka pod palącemi promieniami słońca niezawszej jest odpoczynkiem.

W Niemczech wybuchła cholera dziecięca. Przy piersiach matek, pozbawionych pokarmu, umierały z głodu niemowlęta. W samym Lipsku zmarło śmiercią głodową 305 niemowląt. Nawet kąpiel nieprzynosiła żadnej ochłody i ulgi w cierpieniach. W Berlinie i Düsseldorfie zmarło kilkanaście osób podczas kąpieli w rzekach. Ameryka, która zawsze szczyci się tem, że u niej wszystko jest największe i najwspanialsze, w tym śmiertelnym okresie mogła się również poszczycić największą i najbardziej ponurą statystyką śmiertelności. W New - Yorku, Filadelfji, Bostonie, Chicago, Cleveland i St. Louis zmarło 800 osób od porażenia słonecznego. Drugie tyle zamknięto w zakładach dla obłąkanych.

Duch zgrozy i śmierci powiał dokoła, opromieniony złotemi i palącemi promieniami nielitościwego boga.

Jednakże groźny Febus rzadko u nas popada w gniew. Wie on doskonale, iż nieprzyzwyczajeni jesteśmy do jego zbyt palących pieszczot, to też swe gorętsze promienie wysyła dalej, dokąd stopa europejczyka rzadko zawita. A jeżeli ktoś ośmieli się dotrzeć do krajów, w których panuje niepodzielnie złotopromienny bożek, winien być przygotowany, na jego śmiertelne pociski. Wystarczy przekroczyć tylko Morze Śródziemne, by popaść w kraj wiecznie rozpalony, pozbawiony ochłody i cienia. Kair i Bagdad pławią się w gorącu, dochodzącem do 50 stopni w cieniu. Najgoretszą strefą na świecie jest strefa leżąca wzdłuż morza czerwonego, w Maskacie i nad zatoką Perską. Tutaj żar dochodzi do 55° w cieniu, trochę osłabia się przy wkroczeniu w kraj Moursouk, Trypolitanji i Dahomeyu. Jednakże annale tych krajów, posiadają w swych kronikach karty śmierci. W roku 1835 ginie od upału 280 ludzi z komendy marszałka Bugeaud. Śmierć ich wszystkich nastąpiła w odstępie zaledwie jedenastu godzin. W roku 1882 armja angielska w Egipcie traci 721 ludzi, podczas marszu przez pustynię.

Były to śmierci masowe. Zdarzają się jednak wypadki, z których niewiele dochodzi do naszej wiadomości, a które jaskrawo malują grozę palącej śmierci, buszującej bezkarnie po piaszczystych równinach Afryki. Oto Niemiec Rohlf, podróżujący po Trypolitanji, opowiada, że musiał założyć swemu psu sandały na łapy, ponieważ pod wpływem rozpalonego piasku, którego temperatura dochodziła do 70 stopni, sierść na nogach zwierzęcia zaczęła się tlić. W Algerze znów zdarzył się fakt następujący. Do oddalonego posterunku wojskowego poczta dochodziła raz na 2 tygodnie, dowożona przez specjalnego kurjera. Pewnego razu, przed domami posterunku, zatrzymał się wierzchowiec, wiozący rozkładającego się już trupa kurjera, który zmarł w drodze od porażenia słonecznego. Istnieją w Algerze miejsca, gdzie szyldwach udający się na wartę niewie, czy zobaczy kiedyś jeszcze swych towarzyszy. Posterunki te, wystawiane na szczytach wgórz, na których powietrze, wydaje się niemal rozżarzone do białości nazywane są przez żołnierzy po-

sterunkami śmierci. Nie jest to bynajmniej przesadą, gdyż na szlaku pomiędzy Oranem i Ain - Témouchent normalnie panuje upał, dochodzacy do 55°. Mitologja, która we wszystkich zjawiskach przyrody widziała wolę bogów, wyznaczyła ten kraj na siedlisko genjuszów, żądających od każdego daniny z ciała ludzkiego.

Istnieją okolice, gdzie sama natura stawia przeszkody postępom cywilizacji. Egipt, o którym historja opowiada jako o kraju, pokrajanym siecią kanałów, doprowadzających wodę z Nilu w okresie jego wylewu wiosennego, nic się pod tym względem nie zmienił, od czasów legendarnych faraonów. Pomimo pracy tysięcy inżynierów francuskich i angielskich, nie zdołano wynaleźć nowego sposobu na użyźnianie pól. Zmieniła się może tylko zewnętrzna budowa kanałów. Kamień zastąpiono betonem; czerpaki drewniane — ongiś poruszane setkami rąk niewolników, są jedynie muzealnym okazem, chciwie oglądanym przez kosmopolityczne rzesze turystów; przy pomocy motorów elektrycznych, pracujących bez przerwy, strumienie wody wlewane są do rur, które rozprowadzają ten życiodajny eliksir wzdłuż i wszerz całej doliny.

I jedynie dolina rzeki jest tem czarującem Eldorado, pławiącem się w dosycie wilgoci. Groźna pustynia, otaczająca Egipt, broni swych odwiecznych praw i przywilei — krainy gorąca i śmierci. Niby olbrzymia brytwanna, rozciąga się na tysiące kilometrów kwadratowych, pokryta górami piasku, nad którym panuje wszechwładnie wiatr. Arabowie nazywają wiatr złym bogiem, ponieważ w dani przynosi ludziom jeno udrękę, cierpienia i śmierć. Źródło zrywania się się owego śmiertelnego wiatru leży w różnicach temperatury, jakie następują pomiędzy nocą a dniem. Gorąco, które w ciągu dnia dochodzi do 70 stopni w słońcu, zastępowane jest przez chłód nocny, nie przekraczający nigdy 3° powyżej zera. Zawdzięczając tym wahaniom termicznym mogą ludzie podjąć się podróży przez pustynię, ponieważ chłód nocny zwraca strudzonym i spieczonym wędrowcom siły i zdrowie. Jednakże z drugiej strony wahania te, wytwarzają burze atmosferyczne, które w formie wichrów spadają na ziemię, zamieniając ją w istny kocioł piekielny.



Ten, cokolwiek swobodny strój, nikogo jakoś nie razi przy 40 st. gorąca.

Mężczyźni się zbuntowali. „Pragniemy równouprawnienia z kobietami! Nie chcemy się żywcem smażyć na słońcu! Żądamy perkalików, batystów i crepe de chine'ów!" Wołanie to nie przebrzmiało bez echa. Oto lansowany obecnie zreformowany strój męski na plażach Ameryki.

Olbrzymie góry sypkiego piasku zrywają się, pędząc niby kilkusetmetrowa rozpalona ściana, zasypując wszystko napotkane po drodze. Biada karawanie, którą spotka w swoim pochodzie śmiertelny samum. Nigdzie ratunku, nigdzie schroniska przed tą ruchomą, drobną, a nieubłaganą śmiercią. Ucieczka jest beznadziejna. Śmierć pędzi z szybkością tak wielką, że nawet usta, otwarte do krzyku w chwili agonji, nie zdążą wydać głosu, wypełnione po brzegi ruchomemi drobinami. Samum trwa krótko, przebiega z hukiem jakiegoś straszliwego kataklizmu i ginie w oddali, pozostawiając po sobie krajobraz, niczem nie podobny do poprzedniego. Po ryku huraganu, przypominającego ryki wszystkich mocy piekielnych, następuje cisza. Cisza śmierci — ponieważ złoty, sypki całun okrył ludzi i zwierzęta. Z góry leje swe rozpalone promienie bezlitosne słońce. A jeżeli dzikie zwierzęta nie wywleką trupów zagrzebanej karawany, by urządzić sobie smakowitą ucztę to niby na ironję, trupy pozostają zakonserwowane. Pustynia szydzi z ludzi, nie pozwalając im rozsypać się w proch.

Bezwodne pustynie północnej Afryki i Arabji są jednak niczem, w porównaniu z przestrzeniami, leżącemi koło równika. Przestrzenie te, pokryte bujną roślinnością, skąpane, jeżeli się tak można wyrazić, wodami licznych rozlewnych rzek i strumieni są siedliskiem niechybnej śmierci dla europejczyków. Podczas, kiedy na Saharze panują upały suche — tam powietrze przesycone jest wilgocią, zdradliwie rujnującą organizm białego przybysza. Wytłomaczyć to można łatwo, na prostym, analogicznym przykładzie. Serce i skóra ludzka łatwo wytrzymuje temperaturę łaźni, dochodzącej do 110 stopni; natomiast przy zanurzeniu się w wodzie o temperaturze 60 stopni, powstają na ciele bąble i oparzeliny, mogące się łatwo zamienić w uporczywe i bolesne wrzody.



Studnie publiczne niektórych miast niemieckich są oblegane przez dzieci ulicy podczas długotrwałych upałów.

Gdybyśmy mogli spojrzeć na nasz glob ziemski z oddali, to zauważylibyśmy zwały chmur, rozłożone wzdłuż równika. Zjawisko to powstaje ze ścierania się na równiku wiatrów, wiejących z północy i południa. Siła ich neutralizuje się i powstaje na równiku pas ciszy, tak dobrze znany marynarzom, pływającym na okrętach żaglowych. Cisza ta sprzyja gromadzeniu się na jednem miejscu wielkim ilościom pary wodnej, skraplającej się tylko raz do roku, w tak zwanym okresie nawałnic zimowych. Powietrze rozpalone od promieni słonecznych, stojących tu prawie prostopadle i nasycone jednocześnie nadmierną wilgocią, skutecznie walczy z białymi pionierami kultury, którzy bądź szybko umierają, bądź też uciekają do ojczyzny, ze śladami chronicznej malarji i febry. Bo prócz słońca, czyhają na europejczyka miljardy moskitów, żyjących w wilgotnem powietrzu, które, mikroskopijnemi żądłami, zastrzykują podzwrotnikowe trucizny. Bezbrzeżne równiny Bengalu, bujne dżungle Kochinchiny i nieprzebyte puszcze Kongo, są siedliskiem tego mokrego upału, zwane przez francuzów Pot-au-Noir.

Ów podzwrotnikowy upał wytwarza również dziwne zmiany w psychice ludzkiej, zamieniając zrównoważonych osobników w dziwaków i nienormalnych. Paul Doumer przytacza szereg ciekawych faktów, zaobserwowanych podczas jego podróży po Kochinchinie: „Przy wysiadaniu na ląd, w Saigonie, miałem wrażenie, że wkraczam w kraj widm i grozy. Blade i wychudłe twarze mych bra-

(Dalszy ciąg na str. 16-tej)

TURNIEJ „7-miu DNI"

KTÓRA Z ARTYSTEK SCEN POLSKICH JEST NAJBARDZIEJ CZARUJĄCA?

Warunki turnieju „7-miu DNI"

1. Do dnia 6 września nadesłać należy kupon, wycięty z naszego pisma, podając imię i nazwisko artystki, którą głosujący uważa za n a j b a r d z i e j c z a r u j ą c ą, imię i nazwisko własne, adres, oraz fotografję artystki, zgłoszonej do turnieju, o ile kandydatka nie jest znana szerszej publiczności. Wielce pożądane byłoby również dołączenie króciutkiej charakterystyki stawianej przez siebie kandydatury, względnie, uzasadnienie jej w sposób jaknajzwięźlejszy.

2. Wolno stawiać kandydatury artystek wszystkich scen polskich, zarówno stołecznych, jak prowincjonalnych: operowych, dramatycznych, rewjowych i filmowych.

3. Podobizny pań artystek będą kolejno umieszczane w „7 Dniach". Po ukończeniu turnieju i obliczeniu nadesłanych głosów (jak wynika z brzmienia p. 1-go, każdy może głosować tylko raz, przysyłanie przez jedną osobę większej ilości kuponów jest niedopuszczalne) artystka, otrzymująca największą ilość głosów, uznana przez naszych czytelników za n a j b a r d z i e j c z a r u j ą c ą, otrzyma cenną nagrodę w postaci

BONU NA PORTRET,

który podjął się wymalować znakomity malarz kobiet, nagrodzony w ostatnim Salonie złotym medalem, wybitny portrecista,

JAN RUDNICKI.

4. Trzy następne panie, które zbiorą największą ilość głosów, otrzymają cenne upominki.

5. Ale na tem nie koniec. Między panami, którzy głosowali na artystkę, otrzymującą palmę pierwszeństwa i uznaną, w wyniku turnieju, za n a j b a r d z i e j c z a r u j ą c ą, dokonane zostanie l o s o w a n i e p o r t r e t u a r t y s t k i n a g r o d z o n e j. Gdyby okazać się miało, że zwycięstwo odniesie osoba, która dla jakichkolwiek względów nie będzie sobie życzyła rozlosowania jej portretu — portret stanie się własnością redakcji „7 Dni" — a szczęśliwy wybraniec losu otrzyma jego całkowity pieniężny ekwiwalent.



MARJA GROMNICKA

(fot. Malarski)

PIERWSZE GŁOSY NASZYCH CZYTELNIKÓW !!!

Załączam przy niniejszem fotografję p. Marji Malickiej, która mnie oczarowała nietylko swą grą, ale i wdzięczną postacią. Szczęśliwy ten Sawan...

Marcin Ruszkowski.

Mierzmy chociażby, jak zwykle — po polsku. Sukces Haliny Szmolcówny poza granicami kraju, burza oklasków, którą witano każde jej pojawienie się na scenie — czyż nie jest to świadectwem, że Szmolcówna jest najbardziej czarującą naszą artystką.

Józef Drużyna-Krukowski.

Niechby kto śmiał mi zaprzeczyć, że Marja Gromnicka nie jest najbardziej czarującą z artystek — wyzwę na ubitą ziemię.

Zygmunt Komorowski.

Szczęśliwy jestem, że i ja nareszcie mogę publicznie wypowiedzieć się. Niema nad Marję Balcerkiewiczównę. Najbardziej urocza, najbardziej czarująca, królowa, jakby to powiedzieli merykanie — sex-appeal'u!

Czesław Charzewski.



MARJA BALCERKIEWICZÓWNA

(fot. Malarski)



MARJA MALICKA

(fot. Dorys)

Kupon Nr. 1 do turnieju „7 DNI"

Wyciąć i dołączyć do fotografji.



HALINA SZMOLCÓWNA

(fot. Malarski)

Wieża rozwodów

Piękne miasto Zurych, siedlisko wielu uczonych, filozofów i myślicieli zostało nawiedzione groźną epidemją. Wszystkie siedem plag egipskich — bladły w porównaniu z tem, co się działo w Zurychu i jego okolicach. Najmędrsze głowy radzieckie z burmistrzem na czele, napróżno szukały wyjścia z beznadziejnej niemal sytuacji, która stawała się z każdym dniem coraz bardziej niedoznieseinia.

Złośliwszy z czytelników, zauważyłby, po przeczytaniu tego wstępu, *cherchez la femme*. I nie omyliłby się. Piękne mieszkanki Zurychu, odznaczające się przysłowiowym wdziękiem ciała, niegrzeszyły wcale równowagą charakteru. Zachwianie tej równowagi doprowadzało do gorszących swym przykładem, scen małżeńskich i wypływających stąd (przeważnie ze strony mężów-męczenników) skarg rozwodowych.

Można powiedzieć śmiało, że posada sędziego rozwodowego stała się w tym czasie bardzo lukratywną a osoba księdza całkem niepopularną. Nic dziwnego. Kobiety, które odznaczają się logiką w wynajdywaniu przyczyn swych nieszczęść, uważały księży za jedynie winnych. Bo, gdyby nie było księdza, nie istniałoby małżeństwo, uniknęłoby się wielu, wielu kataklizmów. Nawet wojna trojańska nie miałaby wtedy racji bytu.

Aż wreszcie wynaleziono, jak przypuszczano, radykalny sposób na zapobieżenie złemu. Na krańcu miasta, wybudowano kosztem magistratu, olbrzymią wieżę, w której osadzano bez sądu zwaśnione i żądające rozwodu małżeństwa. Projektodawcy opracowali specjalny regulamin, obowiązujący skazańców do najdalej posuniętej wspólnoty. Zwaśnieni małżonkowie musieli pić i jeść z jednego naczynia, spać we wspólnem, bardzo wąziutkiem łożu i przebywać w jednej malutkiej celi. System ten okazał się w praktyce idealnym, gdyż obawa przed „torturą" w wieży, jak nazywano ten oryginalny wymiar kary, powstrzymywał zwaśnionych małżonków do uciekania się pod opiekę prawa. Małżeństwa żyły, napozór, w przykładnej zgodzie.

Natomiast annale miasta Zurychu zanotowały wypadek straszny, który zachwiał dotychczasową powagą instytucji wieży rozwodów.

Oto, stawiło się pewnego dnia, przed sędzią rozwodowym, młode małżeństwo, które w formie kategorycznej zażądało natychmiastowej separacji. Pokłóceni, Romeo i Julja, obrzucali się przytem takiemi wyzwiskami i oskarżeniami, że nawet sędziemu, przyzwyczajonemu do wysłuchiwania przeróżnych nieparlamentarności stron, uszy puchły, a włosy stawały dęba ze zgrozy na głowie. Nienamyślając się zatem ani chwili, zastosował momentalny i bezlitosny areszt w wieży rozwodów.

Sprawa potoczyłaby się zwykłym trybem, gdyby nie to, że w parę dni zjawił się w magistracie pewien starszy jegomość, który zameldował o zaginięciu bez śladu jego pupilki, nad którą sprawował opiekę. Jednocześnie z nim przybył jeden garbarz, zawiadamiając również o zniknięciu bez śladu młodego terminatora.

Sędzia miejski, człowiek roztropny i głęboki psycholog zamyślił się poważnie nad dziwnym zbiegiem okoliczności i analogji tych dwóch wypadków. Po chwili zastanowienia, błysnęła mu genjalna myśl. Zaprowadził obu stroskanych mężów do wieży rozwodów i wszedł z nimi do celi młodej, zwaśnionej pary. Zaskoczeni, nie spodziewający się tej nagłej wizyty, trwali akurat, w długim, serdecznym uścisku. Bomba pękła. Okazało się, że młodzi ludzie są poszukiwanymi zbiegami, którzy nie mogąc otrzymać zgody od swych rodziców na ożenek, udali się w tak podstępny sposób pod opiekę prawa, by pod bezpiecznemi skrzydłami magistratu spędzić parę dni, w słodkiem sam na sam. Biedni opiekun i garbarz, wpadli w straszliwy gniew, miotając na młodych przekleństwa, podczas kiedy sędzia pokładał się ze śmiechu.

Jednakże po ochłonięciu z gniewu, obie strony zdecydowały, że niema innego wyjścia, z tej beznadziejnej sytuacji, jak tylko szybkie zawarcie ślubu. Lecz jednak magistrat miasta Zurychu, w słusznej obawie, by surowa litera prawa nie stała się jednocześnie wymarzonym azylem dla zakochanych par, zamknął wieżę rozwodów nazawsze, zakładając tam miejską ptaszarnię.

Tyle mówi historja. A teraz puśćmy wodze fantazji i wyobraźmy sobie, coby się działo, gdyby tak u nas uchwalono podobne prawo? Rozwiązane zostałyby dwa społeczne zagadnienia bezrobocia i ruchu budowlanego. Dotychczasowy obszar Wielkiej Warszawy, okazałby się w przyszłości za mały, by pomieścić wieże rozwodów, ba! nawetby zabrakło rąk do budowy tych szczególnych więzień, ponieważ wszyscy już dawno byliby zamknięci. (G)

Co słychać na świecie

Sesja nadzwyczajna Sejmu Rzplitej, zwołana na żądanie przepisanej liczby posłów, a następnie odroczona na dni trzydzieści, została zamknięta dekretem p. Prezydenta z d. 20 b. m.

Sesja senatu odroczona została w d. 17 b. m. na dni trzydzieści.

*

I znów mamy do zanotowania nowe morderstwo na granicy niemieckiej. Tym razem zabity został pod Grajewem szeregowiec straży granicznej, Kachela, który jakoby przejść miał na terytorjum niemieckie i tam, na wezwanie straży niemieckiej, nie zatrzymał się i nie podniósł rąk w górę. Wówczas padła salwa — śmiertelna.

W związku z powtarzającemi się coraz incydentami na pograniczu niemieckiem, paryski „Ordre" zwraca słusznie uwagę, że zajścia te uważać należy za ustalony przez Niemcy plan taktyczny. Niemcom idzie widocznie o utrzymanie ciągłego stanu zapalnego na wschodnich granicach Rzeszy, by móc następnie dowodzić, że granice te nie mogą być utrzymane.

Niemcom — ciągnie dalej dziennik paryski — chodzi przedewszystkiem o zdyskredytowanie strony przeciwnej w oczach rządów, przed wielkim procesem, jaki wszcząć zamierzają. Chcą oni wywołać wrażenie, że Polska choruje na brak organizacji i dozoru ze strony władz. Niemcy popełniają tu jednak błąd psychologiczny. Wszystko to zanadto wygląda na rzecz naciągniętą.

Istotnie — dodajmy od siebie — robota niemiecka zbyt grubą szyta jest nicią, by się świat miał na niej nie poznać!

*

W d. 20 b. m. rozpoczęły się w gmachu sejmowym trzydniowe obrady wszech światowego kongresu Pen-klubów. Po ukończeniu obrad warszawskich uczestnicy kongresu zwiedzili Kraków, Pieniny i Tatry, skąd nastąpi powrót do domów.

*

Na ostatniem posiedzeniu komitetu ekonomicznego Rady Ministrów p. minister skarbu scharakteryzował obecną sytuację skarbu państwa i rynku pieniężnego, a nadto przedstawił akcję kredytową banków państwowych ze szczególnem uwzględnieniem akcji budowlanej i sprawy zwrotu ceł przy wywozie towarów gotowych. P. minister podkreślił, że płynność na rynku pieniężnym jedęn z pierwszych warunków odprężenia na innych odcinkach życia gospodarczego, zwiększyła się znacznie, oraz że sytuacja budżetowa jest wprawdzie napięta, ale równowaga budżetowa nie jest zachwiana.

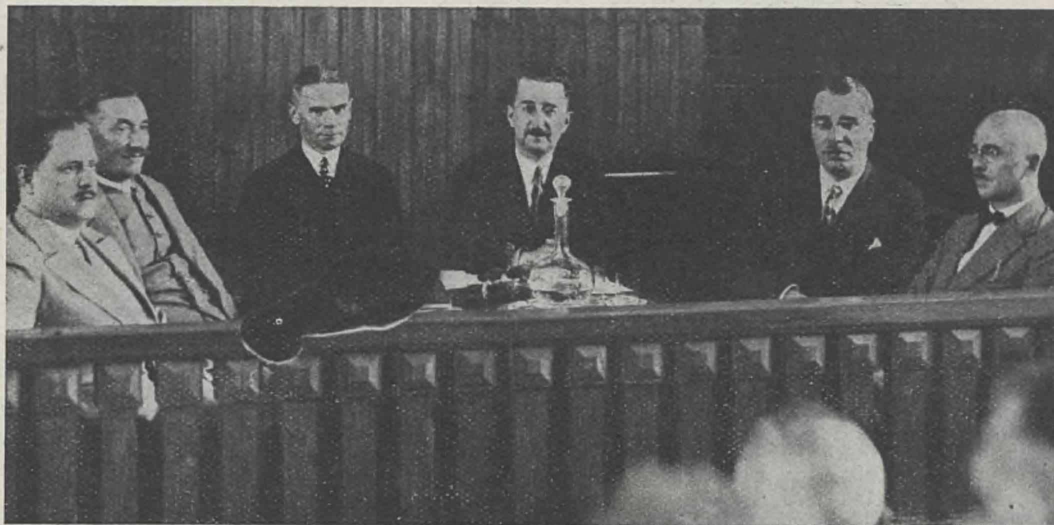
P. minister przemysłu i handlu zobrazował w obszernym referacie sytuację gospodarczą w przemysłach węglowym, metalurgicznym, metalowym i włókniśtym oraz potrzeby i możliwości ich zaspokojenia w granicach środków, jakiemi rząd rozporządza.

Obrady zakończył referat p. ministra robót publicznych o akcji budowlanej.

*

Rząd polski złożył w sekretarjacie generalnym Ligi Narodów deklarację z zawiadomieniem, że będzie mógł przystąpić do konwencji międzynarodowej o zniesieniu zakazów i ograniczeń przywozu i wywozu dopiero wówczas, gdy nastąpi międzynarodowo zagwarantowana swoboda obrotów we wszystkich dziedzinach handlu zagranicznego Polski, albo też wówczas, gdy Polska układami dwustronnemi zabezpieczy wywóz swój na te rynki, które są jej naturalnemi odbiorcami, a które dotychczas zamyka przed nami sztuczna reglamentacja.

W deklaracji polskiej podkreślono wyraźnie, że sposób stosowania niemieckich przepisów weterynaryjnych dla celów reglamentacji gospodarczej, uniemożliwia eksport do Niemiec najważniejszego produktu polskiego, mianowicie płodów rolniczo-hodowlanych.



Obrady prezydjum „Centrolewu", organizującego kongres krakowski, dobiegają końca. Na fotografji widzimy posłów: Róga, Witosa, Dębskiego, Niedziałkowskiego i Chacińskiego.

*

Zastrzelona w d. 12 b. m. przez strażników litewskich obywatelka polska, Błażyszówna, została, jak się okazuje, zniewolona przed zamordowaniem. Była ona używana przez władze litewskie do celów szpiegowskich, tembardziej, że rodzina jej jest z szowinizmu litewskiego, a dom jej rodziców wynajmowany był przez K. O. P., co ułatwiało zabitej rzemiosło szpiegowskie.

*

Głód i nędza w Z. S. R. R. wzrasta coraz bardziej. W Moskwie, Leningradzie, Charkowie i innych większych miastach sklepom sowieckim polecono zamiast mięsa sprzedawać konserwy i to tylko robotnikom. W Kijowie zaprzestano wydawać masło i mleko, nawet dla dzieci. W Leningradzie wstrzymano sprzedaż obuwia i wyrobów skórzanych.

A tymczasem krwawe egzekucje G.P.U. na Kaukazie srożą się coraz bardziej. Więzienia przepełniają włościanie i robotnicy. Tyflis robi wrażenie cmentarza.





Ks. dr. Żongołłowicz, prof. Uniw. Wileńskiego, został mianowany wicemin. W. R. i O. P.



Posiedzenie plenarne w gmachu Sejmu. Na trybunie — znakomity pisarz angielski J. Galsworthy.

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI.

VIII-my Kongres P.E.N.-Klubu w Warszawie

(Prawem i lewem)

Pewna moja znajoma, dowiedziawszy się o mającym się odbyć kongresie P.E.N., zapytała mnie naiwnie, czy to prawda, że litery P.E.N. oznaczają: „P-ewna E-ntuzjastka N-iemiecka"? Odpowiedziałem jej, że jest w błędzie, że litery P.E.N. oznaczają: „P-oeci, E-seiści, N-oweliści", a jeżeli mamy mówić o entuzjastkach, to chyba angielskich, bo założycielka P.E.N.-Klubu, pani Dawson Scott, jest angielką; niemniej, poczułem lekkie zażenowanie. Pomyślałem sobie, że skoro, mimo wielkiej popularności P.E.N.-Klubu w świecie literackim, takie wątpliwości wynikać mogą, to widać sama organizacja P.E.N.-Klubu i cele jego, są tak zwanej szerszej publiczności nieznane. Skoro zaś są nieznane, należy te rzeczy wyjaśnić. A skoro je należy wyjaśnić — trzeba, biorąc asumpt z odbywającego się właśnie w Warszawie VIII kongresu P.E.N., siąść i napisać informacyjny feljeton. Jakoż, siadam i piszę. (Honorarjum od redakcji „7 Dni" z góry otrzymałem, co niniejszem kwituję z podziękowaniem).

P.E.N.-Klubowi przyświeca idea zbratania literatur całego świata, a przez literatury — narodów. To byłoby, mniej więcej, najzwięźlejsze i najprostsze ujęcie genezy tej organizacji, a raczej szeregu organizacji, bo każdy kraj, jak wynika z założenia, posiada własną sekcję P.E.N., do której należeć może każdy pisarz, mogący się wykazać jakimi-takimi wyczynami literackimi. Gdyby mnie teraz z kolei spytano, czy już jesteśmy blizcy urzeczywistnienia idei, która przyświecała narodzinom P.E.N.-Klubu i czy owe braterstwo literatur (i narodów) już czeka za drzwiami, odpowiedziałbym, rzecz prosta, że skoro nawet tak niewinny sport, jak piłka nożna, wywołuje zatargi, wobec których wojna Trojańska, to guzik — w świecie literackim też oczywiście nierychle zakwitnie Locarno. Nie o to też chodzi, żeby sobie, powiedzmy, polscy pisarze z niemieckimi, albo francuscy z włoskimi, natychmiast dawali buzi z dubeltówki, tylko o to, żeby w drodze wymiany myśli, koleżeńskiej współpracy, perjodycznie odbywających się zjazdów i dysput, z tych zjazdów wynikających, zbliżanie się twórców, kontakt między nimi, a przez ten kontakt i wzajemne przenikanie się odrębnych narodowych kultur *przyśpieszały*, jak to się mówi, kroku.

— Sądzę, że dostatecznie zobrazowałem tło, na którem obraduje VIII kongres P.E.N.-Klubu w Warszawie?

✱

Ściągnięcie VIII kongresu P.E.N.-Klubu do Warszawy przedstawiało niemałe trudności. Akurat rok temu, na kongresie VII-ym, który się odbywał w Wiedniu, literaci polscy: Kaden-Bandrowski, Emil Breiter, oraz niżej podpisany, kruszyli kopje z delegatami paru innych państw, które się ubiegały o ten sam zaszczyt. Bo zaszczytem jest, niewątpliwie, goszczenie elity intelektualnej tylu krajów. Że zwyciężyła w Wiedniu propozycja polska, przypisać to należy nietyle osobistemu wdziękowi polskiej reprezentacji (Kaden-Bandrowski jest stanowczo zamałego wzrostu, Breiterowi brak profilu greckiego, a niżej podpisany ugina się ustawicznie pod ciężarem weksli), ile tej okoliczności, że Polska, nasza Ojczyzna, zaczęła odgrywać już pewną rolę na szerokim świecie. Oczywiście, przyczynił się do wzrostu autorytetu naszego kraju nietyle chroniczny konflikt między rządem a sejmem, ile Sienkiewicz i Reymont; oczywiście, poparła nasze tezy nietyle „radosna twórczość", ile Curie-Skłodowska; oczywiście, zjednały nam mir nietyle walne przewagi żyjącego pokolenia, ile martyrologja pokoleń ubiegłych... Mówiąc krótko i węzłowato: zwyciężyliśmy w Wiedniu 3-ch niebezpiecznych rywali i wysoki areopag międzynarodowego P.E.N. postanowił, że w przyszłym, 1930-tym roku, zbierzemy się w Warszawie.



Uczestnicy kongresu byli gościnnie podejmowani w Królikarni przez hr. Krasińską.

Obrady P.E.N. kongresu są dla laików, mówiąc szczerze, raczej obojętne. W sposób obszerny, a nieraz i zawiły, roztrząsa się bowiem na *plenum* mnóstwo literackich zaw...owych spraw, statutów nagród proponowanych, ...bo uchwalanych, przekładów dzieł literackich, ..., etc. Publiczność woli wiedzieć, jacy mianowicie pisarze są najsławniejsi w danej chwili? I czy chętnie szafują autografami? I jak wyglądają? I czy s...żonaci? A jeżeli są żonaci, czy przyjechali z żo...mi, czy sami, i czy istnieje jakaś szansa, że ich spotkamy, po północy, w „Oazie", u Ritza, albo w „Nitouche"?... Interesuje się jeszcze szersza publiczność „protokułem" galowych przyjęć, efektowniejszemi zwrotami powitalnych przemówień, m...u bankietów, toaletami dam, a przedewszystkiem ploteczkami... Wreszcie, radaby wiedzieć jeszcze P. T. Publiczność, którego z gości należy uważać za najbardziej egzotycznego i który ma najwięcej dzieci?

✱

Chcąc sumiennie odpowiedzieć na tyle naraz pytań, a lubując się w szlachetnej lapidarności słowa, odpowiadam tak:

1. Najsławniejszym z literatów, którzy przybyli do Warszawy, jest niewątpliwie sir *John Galsworthy*, pisarz angielski, mężczyzna dystyngowany, siwiejący, spokojny, w każdym calu gentleman. Miał dobrze skrojony frak.

2. Autografy, rzecz dziwna, chętniej dają młodsi, niechętnie starsi. Być może, że to pozostaje w związku nietyle ze sprawą mniejszego, lub większego rozgłosu literackiego, czyli t. zw. sławy, ile ze sprawą wieku. Pisarz starszy bowiem, czując, że mu już niewiele lat życia pozostało, niechętnie twroni czas na głupstwa.

3. Jest sporo pisarzy nieżonatych, którzy, rzecz prosta, przyjechali bez żon, i jest sporo pisarzy żonatych, którzy, rzecz prosta, przyjechali także bez żon. Ostatecznie, każdy człowiek tęskni za chwilką wytchnienia, choćby był nawet flegmatyczny, jak holender, albo skryty, jak anglik... Ale przyjechało także kilku panów ze swojemi paniami... Cześć im!

4. Do dancingów napewno żaden z nich nie łaził, bo każdy był zmordowany obradami, przyjęciami i mowami, których, według straszliwego regulaminu P.E.N.-Klubu, musi być, niestety, na oficjalnym bankiecie tyle, ile obraduje nacyj. Jeżeli się zdarzył jakiś wyjątek — cześć mu! Twardy chłop!

5. U pana Walerego Sławka, w Łazienkach, był zimny bufet, owoce, dużo kwiatów i mało wina. U pana Augusta Zaleskiego było trochę mniej kwiatów, zato znacznie więcej wina. Zarówno u pana premjera, jak i u pana ministra spraw zagranicznych, podejmowano znakomitych gości, jakoteż notablów rodzimej literatury, ze staropolską gościnnością.

6. Podczas obrad kongresu „najefektowniej" przemawiał pisarz niemiecki Toller, autor osławionego „Hinkemanna", domagając się niezwłocznego zaproszenia pisarzy sowieckich do tej literackiej „Ligi Narodów". Niewiadomo, czy to zła akustyka sali sprawiła, czy inne przyczyny, ale wniosek p. Tollera upadł...

7. Toalety dam były olśniewające. Przysłowiowa literacka nędza zaprezentowała się wcale ozdobnie. Wywiadowcy urzędu skarbowego, rozsypani tyraljera w Łazienkach i naprzeciwko pałacu Kronenberga, zapisywali nerwowo całe libry papieru. Potem się wydało, że najefektowniejsze toalety były zrobione na kredyt. Ale co urząd skarbowy zapisał, to zapisał, deklamując: „Niema złej drogi do mej niebogi"...

Kilka sylwetek z kongresu PEN-Klubu — pp. Jules Romains, Krzywicka, Dawson Scott, Tse-Hsiung Ko, Bradley i Galsworthy.

8. Najbardziej egzotycznym gościem był bezwątpienia Chińczyk, pan Tze Hsiung Kuo. Jego deklamacja w Polskiem Radju stała się pierwszorzędną sensacją. Niestety, nikt nie mógł skontrolować, czy rzeczywiście recytuje swoje wiersze, czy też może zachwala jakiś nowy, nieznany gatunek herbaty.

9. Najbardziej obdarzonym potomstwem okazał się pisarz argentyński, p. Martinez Zuviria (Hugo Wast). Dzielny ten penklubowiec rozdaawł wszystkich swoją fotografję, na której znajduje się w grupce ni mniej, ni więcej, tylko *jedenaściorga* dzieci, z których najmłodsze jest jeszcze, jak się zdaje, przy piersi. Ktoś złośliwy powiedział na ten temat, że „Płodność" napisał nie żaden Zola, tylko właśnie on, Hugo Wast. Ktoś jeszcze złośliwszy zapytał, kiedy właściwie ten literat pisze, skoro wszystkie noce ma zajęte? Ktoś najzłośliwszy powiedzaił, że to nie jest żaden Martinez Zuviria, tylko prawdopodobnie żyd i że się musi nazywać Zuckerkandel. Cóż? Antysemityzm niema granic!

✱

A teraz, na zakończenie, trochę ploteczek, dla prawdziwych amatorów. Opowiadano, że na kongresie P.E.N.-Klubu dlatego tak stosunkowo skromnie występowali polscy pisarze starszej generacji, że obawiali się, czy się czasami nie obetną z języka polskiego przed profesorem Skamandrem. Weyssenhoff pokazał się — i znikł. Ano, cóż. Raptem jakiegoś tam „Sobola i pannę" napisał, i parędziesiąt podobnych książeczek. Może i miał boja?

A propos Boy'a. Był i Boy, ale także krótko. Jako wyjątkowo mało płodny pisarz zląkł się konkurencji Lechonia.



Angielscy uczestnicy PEN-Klubu — pp. Simpson, Raymond oraz przedstawiciel Irlandji, płk. Lynch, zachwycają się w Łowiczu wzorzystemi wełniakami.

Lechonia nie było, bo wyjechał, akurat w tym samym czasie, na urlop wypoczynkowy.

O Bartkiewiczu wogóle nikt nie słyszał. Czy taki pisarz istnieje?

O Leśmianie ktoś sobie przypomniał, że z dalekiego Zamościa rozstawnemi końmi, nie tak łatwo zdążyć do Warszawy. Przykro uderzała nieobecność Ojca Polskiej Literatury, Mieczysława Grydzewskiego.

W przemiłym nastroju VIII kongres P.E.N.-Klubu rozwiązał się na dworcu Głównym, dnia 23 czerwca, aby znów się zawiązać (nazajutrz) w Krakowie, tym razem nieoficjalnie.

Dworzec Główny pozostawił w sercach przedstawicieli 26-ciu literatur niezatarte wrażenie. Jedni chwalili jego ogrom, inni — wykwint architektury, jeszcze inni — dobór towarzystwa, przebywającego stale w salonach Dworca. Przepych miejscowej razury wzruszył gości do łez...

Usiłowałem napisać ten feljeton popularnie. Czy wywiązałem się dobrze z zadania? Jeżeli tak, to proszę czytelników „7 Dni" o absolutorjum.



Marszałek Daszyński gawędzi z p. Dawson Scott.

Mistrz świata Schmeling, dyskwalifikacja i dwaj cyganie

25 miljonów oszukanych

W dni wielkich zdarzeń światowych boję się telefonu jak ognia.

Bezustanne dzwonki wyprowadzają mnie z równowagi, stereotypowe pytania działają na mnie przygnębiająco. Niechaj mnie oskarżają o brak uprzejmości, ale nie jestem w stanie dwadzieścia razy dawać jedną i tę samą odpowiedź, to ponad moje siły.

— Schmeling zwyciężył, Sharkey zdyskwalifikowany — usłyszałem trzy odpowiedzi, trzema różnemi głosami, rzucone do trzech aparatów telefonicznych naszej redakcji. Działo się to w dniu, gdy w Ameryce dwaj mistrze świata w boksie walczyli o zwycięstwo.

Ledwie usiadłem przy biurku redakcyjnym, zaterkotał mój telefon.

— Przepraszam...

— Schmeling zwyciężył, Sharkey zdyskwalifikowany!

— Przepraszam...

— Schmeling zwyciężył, Sharkey zdyskwalifikowany!

Dwa razy, trzy razy, dziesięć razy.

Wreszcie przy piętnastej, zdaje się, odpowiedzi, usłyszałem głośny głos:

— To oszustwo!

Początkowo nie zrozumiałem, o co chodzi.

— Przepraszam, to prawda — rzuciłem w aparat. — Sharkey zdyskwalifikowany...

— To oszustwo! — przerwał mi głos z telefonu.

— Co oszustwo?

— Ta dyskwalifikacja, to oszustwo — ryczał głos na drugim końcu przewodu telefonicznego — oświadczam panu, że wszystko było z góry umówione!

Wreszcie zrozumiałem.

— Jeżeli to oszustwo, przepraszam pana, to ja przecież nie ponoszę odpowiedzialności.

Głos z telefonu, po tem oświadczeniu, trochę zmiękł. Mój rozmówca był nawet na tyle uprzejmy, że wyjaśnił mi swój punkt widzenia w tej zawiłej sprawie.

Sharkey jest bezwątpienia lepszym bokserem, niż Schmeling. Jednakże kombinacje finansowe wymagały, aby zwycięzcą został Schmeling, który jest młody, podobny do Dempsey'a, jest przedstawicielem narodu niemieckiego, jego zwycięstwo przyczyni się do spotęgowania uczucia zazdrości między państwami. Mistrz świata Schmeling da w przyszłości większe dochody swym impresarjom, niż mistrz Sharkey.

Ponieważ zaś Schmeling nie mógł zwyciężyć Sharkey'a zwykłą drogą, trzeba było „pomóc mu". Uderzenie poniżej pasa, dyskwalfikacja i zwycięstwo Niemiec ogłoszone!

*

Ciekawą historję opowiedział mi jeden ze znanych sportowców.

Niedawno odbył się mecz między Sharkey'em i angielskim zawodnikiem Scottem. Anglik był specjalistą od... przyjmowania nieprawidłowych uderzeń. Wiele zwycięstw uzyskał przy pomocy... dyskwalifikacji przeciwnika.

Scott potrafił niemal zawsze tak się urządzić, że uderzenie przeciwnika padało poniżej pasa. W czasie walki z Sharkey'em ten ostatni również „trafił" w brzuch. Sędziowie jednak, znając sposoby Scotta, nie uznali złej woli Sharkey'a, pozwolili Anglikowi odpocząć i kazali kontynuować walkę. Sharkey wyszedł, oczywiście, w tym meczu zwycięzcą.

I teraz znów Sharkey zadał podobny cios Schmelingowi. Kto wie, może i wówczas Scott nie umyślnie „podstawił" swój brzuch? Może Scharkey, znając system swego przeciwnika, liczył na to, że sędziowie posądzą o ten „przypadek" Scott'a?

Jako przykład tej historji opowiedział mi mój sportsmen wesołą anegdotę o dwóch cyganach, którzy zamieniali się na konie. Jeden koń był ślepy, a drugi kulawy. Gdy właścicielowi ślepego konia zwrócono uwagę, że mimo tego kalectwa zwierzę nadaje się do roboty, a kulawy nie wytrzyma przecież dłuższej drogi, ten chytrze się uśmiechnął i odparł pocichu:

— Tamtemu koniowi ja wsadziłem gwóźdź w kopyto. Po zamianie gwóźdź wyciągnę i koń przestanie kuleć...

O odkryciu tem zawiadomiono drugiego cygana, który uśmiechnął się jeszcze chytrzej i oświadczył:

— Ja naumyślnie pozwoliłem mu wsadzić ten gwóźdź. Niech potem wyciąga, koń i tak będzie kulawy!

*

Zapytałem się jeszcze o zdanie starego, doświadczonego sportowca, fachowca i od boksu, i od piłki nożnej, i od tennisu.

— Ładne teraz czasy — usłyszałem ironiczną odpowiedź. — Mistrz świata dzięki dyskwalifikacji! Tego jeszcze nie było!

— Cóż miał Schmeling zrobić, jeżeli przeciwnik zadał mu nieprzepisowe uderzenie, a sędziowie przyznali zwycięstwo?

— Zrzec się takiego zwycięstwa, odrzucić z pogardą, zażądać drugiej walki!!

— Były czasy — ciągnął dalej — gdy przeciwnicy w walce o mistrzostwo świata, rzucali się na siebie jak lwy, ryzykowali, dawali dowody wielkiej odwagi, gardzili ostrożnością, a na te mistrzostwa nie zwracali żadnej uwagi. Walczący krążyli po ringu jak wicher — zapalał się stary sportsmen — później w wirze walki nie można było odróżnić jednego od drugiego, aż wreszcie padał błyskawiczny knot-aut. A teraz... mali ludzie, małe interesiki... Kombinatorzy, psiakrew!

*

Nie wiem, kto ma rację, a kto jej nie ma. Nie wiem, czy Scharkey postąpił jak pierwszy cygan, czy Schmeling jak ten drugi. Nie wiem, czy były kombinacje, czy mecz odbył się uczciwie, ale z rozmów tych i innych, z głosów fachowców i laików — wyniosłem to przekonanie, że publiczność z rezultatu meczu jest niezadowolona.

Mistrzostwo z dyskwalifikacji to marne mistrzostwo. I Schmeling nie będzie bożyszczem tłumów, dopóki nie rozłoży swego przeciwnika jak się należy.

*

Niemniej z meczu zadowoleni byli... radjosłuchacze.

W dzień walki, o godz. 3 nad ranem, odezwał się z radjostacji berlińskiej męski głos:

— Czy wiecie, meine Dame und Herren, ile was teraz oczekuje na transmisję z meczu w Nowym Jorku? Jest was nie mniej, niż 25 miljonów, a może nawet liczba dwukrotnie większa.

Słowa te padały dumnie. Tak dumnie, że nawet poprzez fale eteru słychać dreszcz nerwowy w tym głosie i słychać było, że pan z Berlina jest dumny. Lecz pewien jestem, że jeżeli było nas 25 miljonów — na nieszczęście i ja byłem jednym z nich — to tych 25 miljonów słuchaczy gotowe były po godzinie zlinczować tego człowieka. A jeżeli nas było 50 miljonów — jak to przypuszczał dumny głos — to te 50 miljonów stanęłoby jak jeden mąż, aby pomścić za to oszustwo.

Mieliśmy bowiem uczestniczyć przy pomocy radja, podczas przebiegu całego meczu. Mieliśmy słyszeć uderzenia bokserów, głosy dziesiątków tysięcy widzów, i ta sensacyjna transmisja, zapowiadana hucznie i dumnie od tygodni przez całą prasę niemiecką, nie odbyła się.

Było nas 25 miljonów, ogromna rodzina męczenników nocnych, a może 50 miljonów — pomyślcie, co za liczba! Wszyscy poszli spać, a my siedzieliśmy przy głośnikach i słuchawkach, jak sowy, jak... idjoci. Śmiali się z nas, poduszki przynosili z sypialni, a potem!....

My — w Warszawie, Berlinie, Paryżu, Londynie — czekaliśmy.

I nie doczekaliśmy się!

Chcę przytoczyć tu, co usłyszeliśmy po całej serji fokstrotów, a potem marszów na cześć Maksa Schmelinga.

Około godz. 4-ej, tym razem mocno strwożony głos, oświadczył:

— Meine Damen und Herren, w tej chwili dowiadujemy się, że mecz z powodu deszczu rozpoczął się wcześniej. Skończyła się już pierwsza runda, która wypadła na korzyść Sharkey'a.

Po dwudziestu minutach ten sam głos jeszcze bardziej przerażony, wyszeptał:

— Meine Damen und Herren, coś się popsuło w aparaturze. Nic nie rozumiemy. Kontakt z Ameryką przerwany!

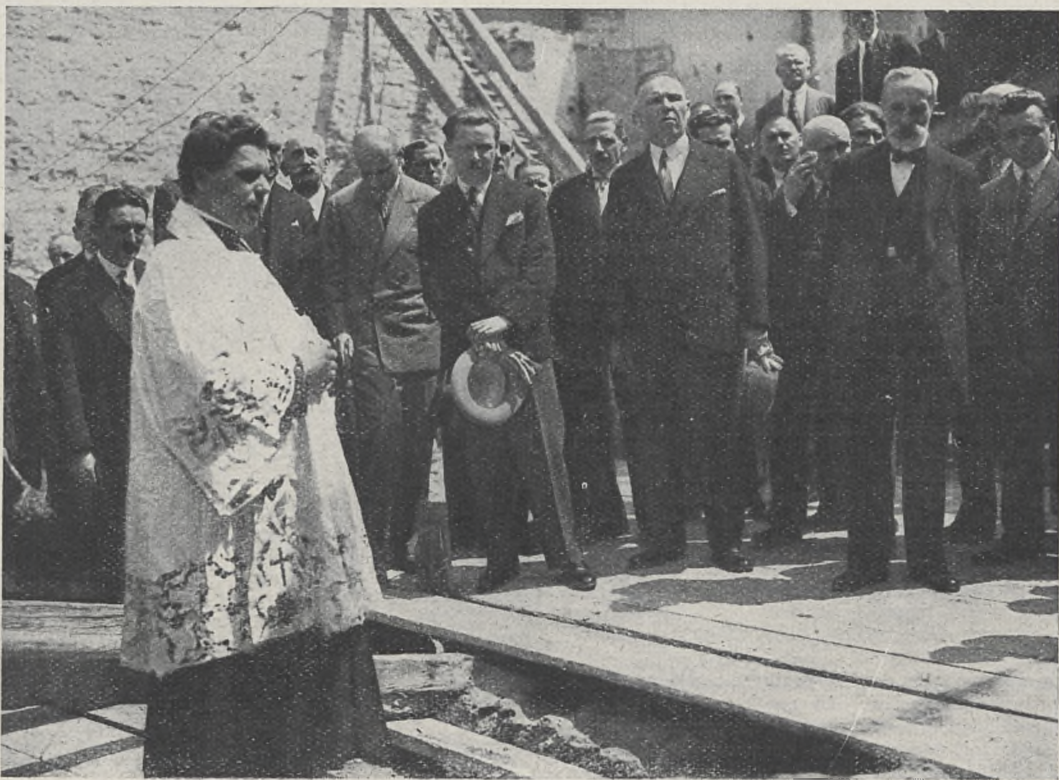
A jeszcze po dziesięciu minutach:

— Meine Damen und Herren, mamy wiadomości z agencji telegraficznej Mossego — mecz skończony. Sharkey zdyskwalifikowany za uderzenie przeciwnika w okolicę brzucha. Schmeling nieprzytomny. Przyznano mu zwycięstwo i mistrzostwo świata. Na tem kończymy transmisję. Proszę uziemić antenę.

Było nas 25 miljonów, a może 50 miljonów...



W ubiegłą niedzielę odbył się start IX międzynarodowego rajdu samochodowego. (fot. Sitkowski).



W tych dniach odbyło się poświęcenie kamienia węgielnego pod nowy gmach P. K. O. w Warszawie, przy ulicy Św.-Krzyskiej. Na zdjęciu widzimy prezesa P. K. O. dr. Henryka Grubera, dyr. dep. pieniężnego min. skarbu, p. Barańskiego oraz dyr. dep. technicznego P. K. O. p. Starzewskiego.



Tadeusz Kowalski, uczeń prof. Elego Kochańskiego, ukończył Konserwatorjum Muzyczne z odznaczeniem — brał udział w wielu popisach Konserwatorjum oraz na popisie wirtuozowskim w dniu 15 czerwca b. r., otrzymał nagrodę p. Stefana Spiessa 500 zł. oraz nagrodę Starostwa Płockiego 1000 zł.

Nie niszczcie tego numeru, lecz złóżcie go lub prześlijcie (ew. kilka razem) do „Tow. Opieki Kulturalnej nad Polakami, zamieszkałymi zagranicą, im. Adama Mickiewicza", Warszawa, Ordynacka 5 m. 5, tel. 90-94, które wyśle je do czytelń i bibljotek polskich zagranicą, aby krzepiły serca naszych rodaków i broniły ich od wynarodowienia.

Z ostatnich premjer

„MORSKIE OKO": „Codziennie dancing", 2 akty z życia nocnego Gezy Herczega i Karola Farkasa. Muzyka dr. Roberta Katchera i miejscowych.

Nie. Nie podobało mi się. I, co gorsza, sam nie wiem, dlaczego...

Bo właściwie bardzo dobrze, że raz wreszcie coś nowego... Widzownia na scenie, scena na widzowni. „To ci heca", jak mówił aktor, grający „lwowiaka" i strasznie mi zasłaniający. Wogóle ogląda się to dziwowisko przez „pryzmat", jeżeli się tak można wyrazić, osobników, siedzących przy stolikach. Co do mnie, np. cały pierwszy akt oglądałem przez szparkę między cytowanym już lwowiakiem a „odwrotnem en face" Leny Żelichowskiej, bardzo pięknie, zresztą, się prezentującem. W drugim akcie byli łaskawi zasłanić mi już inni artyści, ale z takim samym skutkiem. Może to, skądinąd, i lepiej...

Tymczasem na scenie, pardon, na widzowni, rozgrywały się „przeraźliwa tragedja" z nieodzownym „happy end'em", którą można najtrafniej scharakteryzować jednem tylko słowem: „Kogo?..."

Natomiast, między perypetjami tego wstrząsającego dramatu odbywały się normalne dancingowe „występki", trzeba przyznać: wcale niezłe. Neyowie są arcydoskonali, można się na nich patrzeć godzinami (o ile nikt nie zasłania), jak wyczyniają porywające rzuty i przerzuty, wzloty i przeloty, albo sami, albo z równie znakomitą Antoszówną, aż Halamkom, siedzącym wysoko w loży, robiło się nieswojo. Założyłbym się, że je aż podrywało, że je skorciło skoczyć na tę świecącą się posadzkę, fiknąć, szmyrgnąć, zakoziołkować, jak za dobrych dawnych czasów, poskakać, pofiglować, pohasać z Neyami i z Antoszówną, dzielić z nimi burze oklasków...

Oklaski... Mało ich było na tej premjerze. Owszem, podczas popisów taneczno-akrobatycznych i „girlsowych" zrywały się spontanicznie, jak również po przepysznym duecie Olszy i Boda (ale gdzie to bywa, żeby właściciel dancingu, i to taki typ, brał udział w „atrakcjach"?). Ale naogół, nie. I nie można to było więcej par tańczących zaangażować? Wciąż tylko te same trzy-cztery pary...

Nie. Nie podobało mi się. I w dalszym ciągu nie wiem, dlaczego...

Bo właściwie, grano dobrze. Nawet bardzo. Bodo był znakomity, Nowicka pyszna, Sokołowska, świetna, Olsza również... Nowozaangażowana Grabowska bardzo na miejscu, kulturalna i inteligentna, Sempoliński z Rolandem starannie jej partnerowali, Kucharski, Sielański, Halicz dali pomysłowe epizodziki. Pani Jewniewiczowej już powiedziałem osobiście, że kostjumy były śliczne, więc tu tego powtarzać nie będę. Reżyser Walden robił, co mógł, aby stworzyć właściwą atmosferę. Nie jego to wina, że wrażenia się rozpraszały, że naogół było wszystko zbyt chaotyczne, nużące, t. zw. w farmakologji teatralnej „dętol"...

Zresztą, może się mylę, może mi się to tylko tak z mojego miejsca wydawało...

Proszę sprawdzić z lepszego miejsca i dać mi znać, dobrze?...

H. Liński.

Repertuar teatrów

WIELKI

dn. 26 b. m. — W teatrze na wyspie w Łazienkach „Święto ognia".
dn. 27 b. m. — „Łucja z Lamermooru"
dn. 28 b. m. — W teatrze na wyspie w Łazienkach, o godz. 8.15. Balety: „Wesele na wsi", „Szopeniana", „Kupała".
W Teatrze Wielkim, o godz. 8: „Cyrulik Sewilski", z występem gościnnym Iwana Steszenko.

NARODOWY

dn. 29 b. m. — „Gioconda", benefis p. M. Polińskiej Lewickiej.
dn. 30 b. m. — przedstawienie zawieszone.
dn. 26 b. m. — „Zły szeląg"
dn. 27 b. m. — „Zły szeląg"

LETNI

Od dnia 28 b. m. codziennie „Niebieski lis"
dn. 26 b. m. — „Wysoka stawka"
dn. 27 b. m. — „Wysoka stawka"
Od dnia 28 b. m. codziennie „Ciotka Karola"

POLSKI

codziennie „Artyści", z M. Modzelewską i S. Jaraczem.

MAŁY

codziennie „Papa" Caillaveta i de Flersa

QUI PRO QUO

codziennie „Dwie możliwości"

MORSKIE OKO

codziennie rewja p. t. „Codziennie dancing"

WESOŁY WIECZÓR

codziennie rewja p. t. „Halama u nas"



Zespół orkiestralny Henryka Golda, znakomitego kompozytora przebojowych piosenek: „Tęsknota", „Kwiaty miłości", „Uśmiech Warszawy", który podczas swoich występów w „Morskiem Oku", w rewji p. t. „Uśmiech Warszawy", cieszył się kolosalnem powodzeniem, opuszcza wkrótce stolicę, udając się na wielkie tournee artystyczne po całej Polsce i zagranicą. *(fot. Brzozowski).*

Wszechsłowiański zlot sokoli w Belgradzie

(Dokończenie ze str. 4-ej)

się, czy nie jest ona podyktowana presją na którąkolwiek z części składowych Jugosławji. Przekonano się wówczas dopiero, gdy sami Jugosłowianie, przez specjalnie rozesłanych delegatów, złożyli oświadczenia, że reforma taka była koniecznością. Rząd ze swej strony dał względem sokolstwa dowody lojalności, powierzając wice - prezesury związku dawnym prezesom odrębnych „Sokołów". To też, po deliberacji w Tatranskiej Polane w marcu r. b., „Savez Sokola Kraljevine Jugoslavije" reintegrowany został w prawach członka związku sokolstwa słowiańskiego, które to prawa był skutkiem reorganizacji utracił. Głos polski padł tutaj w sposób dość ważki na szalę; pamiętać zresztą należy, że sprawa przyjmowania członków wymaga w związku sokolstwa słowiańskiego jednomyślności.

Jugosłowianie czynią przygotowania zlotowe z całą energją. Powstał specjalny stadjon, na którym odbędą się ćwiczenia. Przewidziano szereg udogodnień dla uczestników zlotu, aż do zorganizowania po zlocie szeregu wycieczek po cenach zniżonych.

Zlot zapowiada się nader licznie. Współgospodarzami zlotu, jako sokolego, będą sokoli czechosłowaccy, polscy i rosyjscy z emigracji; pod nieobecność prezesa związku sokolstwa słowiańskiego dr. Scheinera, urzędować będzie I wiceprezes związku Adam hr. Zamoyski.

Wiele rządów posyła przedstawicieli specjalnych na zlot. Jak nam wiadomo, z Francji przybędzie minister wychowania fizycznego p. Marinaud; Czechosłowacja ma mieć delegację swej armji. Polska delegowała grupę przedstawicieli różnych organizacyj sportowo - wojskowych z p. Anuszem na czele. Jest to dowód, jak wysoko ceniony jest i brany pod uwagę ruch ideowy sokoli przez wszystkie państwa europejskie.

Delegacja państwowa polska, zająwszy poczesne miejsce wśród gości zlotowych, będzie miała sposobność cieszyć się widokiem czamarek polskich pośród zawodników i uczestników zlotu, na wielkiem boisku belgradzkiem, nad którem w skrzydła zatrzepocze słowiański ptak — sokół. I zobaczy dowodnie siłę, jaką sokolstwo dziś w świecie reprezentuje.

Morderczy upał

(Dokończenie ze str. 9-tej)

ci—europejczyków, zdawały się mówić o jakichś przebytych cierpieniach moralnych i fizycznych. Kontrast pomiędzy temi rozpacznemi bruzdami, rysującemi się wzdłuż policzków i podkreślającemi oczy wyraziste i rozgorączkowane, a sposobem zachowania się, żywem, ekskluzywnem i wesołem, czynił przygnębiające uczucie czegoś nieuchwytnego i niesamowicie groźnego, czyhającego gdzieś w ukryciu na ich zgubę. Atmosfera rozwiązłego życia, panująca wśród najszanowniejszych rodzin europejskich, sprzedajność kobiet, nieuczciwość mężczyzn — oto trucizna, której źródło wytryska razem z nielitościwemi promieniami słońca, obojętnie i bezdusznie świecącego nad naszemi głowami".

Śmiertelność wśród europejczyków w Tonkinie jest ogromna. W roku 1896 zmarło od porażenia słonecznego 345 żołnierzy korpusu ekspedycyjnego, nie mówiąc już o febrze i malarji. Swift obliczył, że statystyka „śmierci słonecznej" wykazuje 1 na 50 wypadków porażenia. W roku 1826, 5500 żołnierzy angielskich, rozlokowanych w prowincji Aracan, „zmarło od promieni słonecznych".

Podczas swego pierwszego marszu na Rangoon, Anglicy nie zdążyli zjeść mięsa ze świeżo ubitego bydła, ani go zasolić, ponieważ natychmiast zaczęło gnić. Żołnierze, podczas całej tej wyprawy, żywili się biscuit'ami, rozmoczonemi w wodzie.

Jest to kraj niesamowity, gdzie słońce dyktuje swoje prawa i bacznie czuwa nad ich nieprzekraczaniem. Kraj — w którym najgenjalniejsza myśl ludzka, najwspanialsze projekty uginają się przed żarem, lejącym się z nieba. Kraj — w którym mury domów rozklejają się od gorąca, gdzie podeszew przylepia się do podłogi, a przepięknie zbudowane domostwa po kilku latach wyglądają jak rudery. Żaden malarz, nie mógłby na swem płótnie utrwalić piękna i grozy tego piekła, gdyż farby.. rozpuściłyby się i zamieniły w błoto. Wino, nalane do flaszki, fermentuje w ciągu paru dni, zamieniając się w niesmaczną, oleistą masę.

A wszystko to jest dziełem słońca, nieznającego litości, którego my, mieszkańcy strefy umiarkowanej, tak często łakniemy.

(g)

Reklama kinowa

Ilekroć rozpoczyna się w świecie filmowym w kraju lub za granicą robota wielkiego obrazu, tyle razy oczekuję z mimowolnem zaciekawieniem, co też się zdarzy niezwykłego aktorowi, kreującemu główną rolę, reżyserowi, lub przynajmniej operatorowi.

Nie czekam nigdy długo. Już w kilka dni po rozpoczęciu nakręcania filmu, wędrują po biurkach redakcyjnych, uprzejmie zredagowane, kartki, w których troskliwy kierownik propagandy danego filmu, zawiadamia chętnie o wszystkich przygodach, jakich doznają uczestnicy filmu.

A trzeba przyznać, że przygód tych jest bez liku. Jeszcze nigdy zwykły śmiertelnik nie przeżył tylu wrażeń, nie podlegał tylu niebezpieczeństwom, co, powiedzmy, „gwiazda" filmowa, która zresztą z chwilą rozpoczęcia zdjęć staje się niezmiennie najbardziej uroczą, najbardziej utalentowaną, najbardziej godną pożądania kobietą.

Znam wypadki, gdy podczas nakręcania filmu róże kwitły na łonie bohaterki, gdy tłum przypadkowych widzów klękał przed nią w niemym zachwycie, gdy jedni statyści zabijali drugich w ferworze udanej walki, sądząc, że się biją naprawdę, gdy dwaj serdeczni przyjaciele rozbijali sobie na głowie co droższe rekwizyty, zakochawszy się nagle w bohaterce, uczuciem dużo silniejszem od tego, jakie nakazywał im scenarjusz.

Czytałam z niezmiennem zaciekawieniem o wypadkach automobilowych, które mógł reżyser przypłacić życiem, nie przypłacił jedynie dzięki przytomności operatora, który, kręcąc bez przerwy, hamował jednocześnie bieg auta i własną piersią zasłaniał drogocenne życie aktorów i reżysera.

Zawiadamiano mnie o niezwykłych wypadkach sugestji zbiorowej, gdy podczas nakręcania sceny tańca, całe miasteczko oddawało się zbiorowym pląsom, służąc chętnie zamiast statystów. Gdy podczas nagrywania scen w szpitalu: ludzie, dogorywający, zdrowieli nagle i ze łzami w oczach błagali reżysera, by pozwolił im także zagrać pod jego światłym kierunkiem, by nie odmawiał im tej pociechy przysłużenia się w powstawaniu nareszcie dobrego, nareszcie idealnego filmu!

O tem, że każdy reżyser jest genjalny, że każdy kierownik produkcji posiada pełną subtelności inwencję, a każdy amant przechodzi wszelkie nadzieje, że wobec nich zarówno Cecil de Mille, jak Griffith, powinni się ze wstydu już dawno do grobu położyć, a przynajmniej zaprzestać tej śmiesznej zabawy, którą niewiadomo dlaczego nazywają produkcją filmową, o tem już nawet wspominać nie należy!

Wszystko to jednak jest niczem z dalszemi losami filmu, który po szczęśliwem zakończeniu pomimo przeszkód i przygód jakich im los i umiejętna reklama nie szczędzą, dostał się nareszcie na ekran.

W ciągu jednej chwili film staje się „szlagierem", „superszlagierem" nawet, w skromniejszych wypadkach „przebojem", a nierzadko „nieśmiertelnem arcydziełem".

Ponieważ zaś kierownicy kin posiadają o wiele bujniejszą wyobraźnię, niż kierownicy propagandy, przeto nie szczędzą nam nigdy „przepaści bezdennego demonizmu", „szału zmysłów", „okrucieństwa rozkoszy", „cierpień kobiety u szczytu upojenia", i t. d., i t. d.

Pozostanie dla mnie wieczną tajemnicą, dlaczego aktor, grający rolę porzuconego przez żonę nieszczęśnika, staje się nagle 100% mężczyzną, a aktor, który porzuca ukochaną, „mężczyzną demonem"?

Dlaczego każdy pocałunek staje się wówczas pocałunkiem szału i namiętności, każda sprzeczka — „wstrząsającą tragedją"?

Najbardziej zaś interesuje mnie, dlaczego nawet dobre i artystyczne filmy, reklamują się również w podobnie nietaktowny sposób, przypominający uparcie sposób reklamowania i nawoływania do wnętrza bud jarmarcznych?

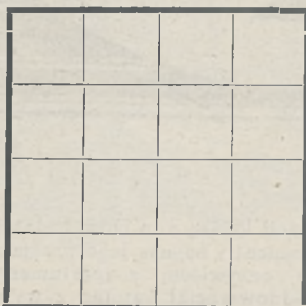
Zofja Dromlewiczowa.



Jednakże nie zawsze reklama potrzebuje operować superlatywami; by ściągnąć publiczność na nowy film wystarczyłoby dać tylko tę miłą buzię, która starczy za wszelką reklamę. (fot. Metro).

Rozrywki umysłowe

KWADRAT MAGICZNY.



Puste kratki wypełnić literami tak, aby utworzył się kwadrat magiczny, w którym wszystkie słowa czytają się z góry na dół i z lewej strony ku prawej.

ZNACZENIE SŁÓW.

1. Najnowszy zwyczaj; 2. Imię rosyjskie; 3. Dzięsięć (np. waga); 4. Kamień drogocenny.

NAGRODY.

Za rozwiązanie kwadratu magicznego przeznaczamy jako nagrodę do rozlosowania

25 złotych

oraz 2 książki beletrystyczne.

Termin nadsyłania rozwiązań do dn. 9 lipca b. r.

ROZWIĄZANIE

zadania szachowego z n-ru 25.

1. e7 — e8 Goniec!
Ke5 × d6 (albo × f6).
2. c7 — c8 Wiera! (albo g7 — g8 wieża!) i białe matują na 6-ej linji.

ROZWIĄZANIE

szarad z N-ru 23.

I. Fryderyk Jarossy
II. Zula Pogorzelska

WIZYTÓWEK FILMOWYCH

I. Greta Garlo
II. Emil Jannings
(pierwsze litery słów)

ROZWIĄZANIE

zadań z N-ru 24.

LOGOGRYF:

Polak
Eheu
Turkus
Koło
Ikłać
Elki
Wieluń
Irys
Człowiek
Zambezzi
Petkiewicz
Kusociński.

KWADRAT MAGICZNY.

D R O B I
R A P I R
O P A L E
B I L O N
I R E N A

NAGRODY

za rozwiązanie szarad „Qui Pro Quo" otrzymają:

I. p. Irena Salberżanka, Warszawa, Nowolipie 36 m. 68.

II, III i IV pp. Roman Klimczak, Zofja Sieradzka z Warszawy, Franka Kiberleinówna — Henryków — Warszawski Dom Słobody.

NAGRODY

za rozwiązanie wizytówek filmowych otrzymają pp.:
Helena Mokrzycka, Drohobycz, ul. Polna 16; Jan Maciejewski, Sosnowiec, Piłsudskiego 56; S. Michalski, Łuminiec — Polesie; Włodzimierz Czubak, Kraków, ul. Helclów 7, Ip ; Eugenjusz Woyakowski, Wilno, ul. Uniwersytecka 9 m. 2.

Z życia domowego

Jedną z największych plag ludności są ektopasorzyty (pluskwy, wszy, komary i muchy). Pasorzyty te, przeważnie żywiąc się krwią ludzką, są rozsadnikami różnych chorób zakaźnych. Najbardziej dokuczliwym ektopasorzytem jest pluskwa. Zapluskwianie mieszkań przybiera często rozmiary katastrofalne, gdyż staje się przyczyną pojawienia się chorób zakaźnych, a szczególnie duru brzusznego powrotnego.

Tej pladze można obecnie nareszcie z łatwością położyć kres, stosując nowowynaleziony przez włocha Ermana Gallegarisa radykalny środek, zwany *„Fumigatore-Cimex"*.

„Fumigatore-Cimex" posiada formę świecy, po zapaleniu której wytwarza się gaz nieszkodliwy dla zdrowia ludzkiego, lecz zabójczy dla wszelkich insektów i ich zarodków.

Zabójcze działanie „Fumigatore-Cimex" tłomaczy się tem, że gaz, wydzielający się przy spalaniu świecy, posiada wielką siłę przenikania, dosięgając do najgłębszych szczelin i szpar w ścianach, tapetach i podłogach, będących miejscem gnieżdżenia i rozmnażania się pluskiew i innych insektów.

Epilog sprawy Żak contra Szach

Wyrokiem Sądu Okręgowego w Warszawie Josek Szach, właściciel wytwórni artykułów kosmetycznych, skazany został na 3 miesiące aresztu i zapłacenie 4000 zł. odszkodowania na rzecz Henryka Żaka.

Szach pociągnięty był przez prokuratora do odpowiedzialności, za wypuszczenie na rynek wody kolońskiej pod nazwą „Warszawianka", przyczem rysunek etykiety naśladował do złudzenia etykiety, umieszczone na butelkach z wodą kolońską „Przemysławka", wyrabianej przez fabrykę perfum i kosmetyków Żaka w Poznaniu. Szach zaapelował przeciw wyrokowi sądu okręgowego, lecz sąd apelacyjny wyrok ten zatwierdził. Wówczas Szach wniósł skargę kasacyjną. Jednak i Sąd Najwyższy skargę Sz. oddalił, zatwierdzając wyrok, skazujący Sz. w całej rozciągłości. Należy się spodziewać, że wyrok ten będzie przestrogą dla wszystkich tych, którzy chcieli drogą nieuczciwej konkurencji korzystać z owoców cudzej pracy.



Dnia 15 b. m. odbyło się uroczyste poświęcenie nowego gmachu Reprezentacji Browaru Okocimskiego w obecności przeszło 350 osób, w tem liczne grono przedstawicieli prasy stołecznej. Fotografja nasza przedstawia front nowego budynku reprezentacji.

(fot. J. Malarski.)

BURZA

PHILIPS OPPENHEIM (24)

(Dokończenie)

— Byłam bardzo niemądra, Grant, — wyszeptała. Miałabym ochotę zatańczyć z panem.

— Zuzanno! — wykrzyknął w zdumieniu.

— Bardzo to było głupie. Zatańczmy sobie teraz jak dawniej, a potem pójdziemy na spacer, dobrze Grant?

Grant miał dosyć rozumu, by nie zadawać pytań. Gertruda, opierając się na ramieniu męża spoglądała w stronę młodej pary.

— Rzeczywiście, gazety słusznie rozpisują się o urodzie młodej córeczki popularnego premjera. Dawniej sądziłam, że brak jej wyrazu —

Książę popatrzył na młodych ludzi przez swe wielkie okulary.

— Dobrze wyglądają razem. Mają dużo rasy te młode angielki. Czasem nawet i niezły dowcip. Poruszają się jednakże w bardzo ograniczonym światku.

— Zdaje mi się, że ciasne ścieżki mają czasem swe wielkie zadośćuczynienie — westchnęła Gertruda.

ROZDZIAŁ XLIII.

Sefalonja miała przybyć do New Yorku w środę, a we wtorek wieczór siedział Grant z Zuzanną na pokładzie do godziny jedenastej wieczór.

Zuzanna spojrzała na zegarek.

— Jeżeli nasza podróż przedłuży się, Grant, będę musiała podać do wiadomości nasze zaręczyny. Robimy rzeczy niestosowne. Czy wiesz, że nie tańczyłam przez cały wieczór z nikim z moich tutejszych znajomych?

— Wiem, że stałem się tu bardzo niepopularnym — odparł Grant z uśmiechem — lecz jakoś nic sobie z tego nie robię. Przeciwnie, odzyskałem mój spokój. Cieszę się też bardzo, że zbliżamy się do kraju, który ma najbardziej kulturalne poglądy w stosunku do formalności małżeńskich. Żadnych zapowiedzi, żadnego czekania.

— Nie przypuszczasz chyba, że się pobierzemy w Ameryce? — zawołała Zuzanna.

— Mam właśnie nadzieję, że się na to zgodzisz, tu — odparł Grant spokojnie. — Spokojny ślub w Waszyngtonie, oto sposób najbardziej mi odpowiadający — jeżeli przedtem nie zginę od kuli jakiegoś przeciwnika.

— Masz przed sobą poważną pracę, Grant.

— Bardzo poważną — przyznaj. — Twój ojciec zresztą także. Moja bardziej ryzykowna, lorda Yeovila bardziej odpowiedzialna. Nie wiem, czy istnieje w danym momencie człowiek, mający przed sobą tak ciężkie zadanie jak on. Przeżywamy ciężki kryzys.

— Tak, masz rację, przy tem wszystkiem blednął nasze sprawy osobiste, prawda? — westchnęła.

Pochylił się nad nią i ucałował serdecznie.

— To na szczęście, tu — wyszeptał.

Wracając do siebie Grant przechodził koło apartamentu Blumma. Steward czuwał przed zamkniętemi drzwiami.

— Jak miewa się dzisiaj pan Blumm? — zapytał.

— Dziękuję sir, już mu cokolwiek lepiej —odparł zagadnięty.

— Ciekaw jestem, czy nie zechciałby zobaczyć się ze mną?

— Nie sądzę, panie. Prosił, żeby nikogo nie wpuszczać. Chciał wypocząć.

— Będziecie tu siedzieli całą noc?—pytał Grant dalej.

— Pan Blunn daje mi dziesięć dolarów, abym tu przesiedział przez noc. Mogę tu nawet zdrzemnąć się w fotelu.

— Dobranoc — pożegnał go Grant.

— Dobranoc, sir.

Grant wrócił do siebie. Zdjął obuwie i zmienił je na inne, na gumowej podeszwie, włożył marynarkę z granatowego serge, zapiętą pod szyję, wsunął rewolwer do kieszeni i wyszedł na pokład. Skierował się w stronę kajuty Blunna i usiadł naprzeciwko na leżaku. Była już prawie północ i pokład opustoszał kompletnie. Przeczekał jeszcze chwilę i podniósł się z miejsca. Podszedł do oszklonych drzwi, odemknął je kluczem, który wyjął poprzedniego dnia. Znalazł się wewnątrz apartamentu. Zdaleka migało jakieś mdłe światełko, lecz cisza panowała zupełna. Przeszedł obok śpiącego stewarda, zakradał się jak mysz do sypialni. Było tak cicho, że wydało mu się to podejrzane; nie było nawet słychać oddechu śpiącego człowieka. Słyszał tylko przyśpieszone bicie własnego serca. Zajrzał przez otwarte drzwi. Dostrzegł pustę łóżko w dziwnem nieporządku. Korneljusz Blunn siedział opodal przy stole, z głową pochyloną na łokciach. Miał na sobie szlafrok z ciężkiego jedwabiu. Był najwidoczniej pogrążony we śnie. Lewa jego ręka, wyciągnięta na stole, ściskała kurczowo jakieś klucze, przyczepione do łańcucha. — Opodal stała mała, złota kasetka.

Sekundy mijały. Grant posuwał się bez szelestu w stronę śpiącego nad stołem człowieka. Pochylił się nad nim, ogarnęło go przerażenie tak wielkie, że wydał lekki okrzyk. Miał przed sobą trupa. Opanował się natychmiast, lecz skutek przestrachu był fatalny. Steward zbudził się i zaczął stukać do zamkniętych przez Granta na klucz drzwi sypialni. Grant skupił wszystkie siły, wydobył klucze z zesztywniałych palców i odwinął łańcuch, otaczający ciało Blunna. Wślizgnął do kieszeni klucze i kasetkę i zaczął się kierować ku wyjściu. Za drzwiami nie było już nikogo, widocznie steward odszedł. Przeszedł przez jadalnię i oszkloną część pokładu, należącą do apartamentu nieboszczyka, zamknął za sobą oszklone drzwi i wydostał się nazewnątrz. Owionął go wiatr i Grant przyszedł w jednej chwili do siebie. Robili przeszło trzydzieści węzłów na godzinę i rozpryskująca się piana ochłodziła rozpaloną twarz Granta. Spieszył teraz w kierunku apartamentu lorda Yeovila. Dojrzał światło w saloniku. Zastukał do drzwi i wszedł do środka. Lord Yeovil siedział w pyjamie i kończył swoje whisky and soda. Spojrzał na przybysza bez słowa.

Grant wyjął pośpiesznie z kieszeni swą zdobycz.

— Mam ją — rzekł zadyszany. — Mam szkatułkę i klucze. Prosiłbym pana, aby zechciał pan ją umieścić w jednej z oficjalnych waliz.

— Bez walki? — zapytał lord Yeovil.

— Bez — odparł Grant zduszonym głosem. Lecz i tak było strasznie. Korneljusz Blunn nie żyje.

ROZDZIAŁ XLIV.

Na kilka godzin przed przybyciem do portu zapanowała na Sefalonji szalona konsternacja. Koszmar nagłej śmierci Blunna zrobił tem silniejsze wrażenie, że nieboszczyk, przez cały czas swego niedomagania na okręcie, nie dopuszczał do siebie lekarza, nie było też nikomu wiadomo, aby kiedykolwiek cierpiał na serce. Lecz poza tragedją Blunna zainteresowała się publiczność stanowiskiem księcia Lutrechta i księcia von Dirs, których ta śmierć doprowadziła niemalże do stanu histerji. Nie chcieli opuszczać swych kajut i nastawali na przeprowadzenie ogólnej rewizji na statku.

— Kapitanie — rzekł poważnym tonem książę Lutrecht — jesteś pan Anglikiem i człowiekiem honoru. Powtarzam panu raz jeszcze, że ostatniej nocy skradziono w apartamentach Blunna kasetkę, zawierającą dokumenty polityczne. O ile dostaną się one w nieodpowiednie ręce, grożą nam wielkie kataklizmy w polityce. Były one zabrane przez Korneljusza Blunna na okręt, wbrew naszemu życzeniu i kto wie, czy nie zginął w ich obronie. Zostały skradzione i starannie ukryte, i dla tego odwołuję się do pana, jako do jedynej odpowiedzialnej tu osoby, aby natychmiast przeprowadzone zostało jakieś śledztwo.

— Lecz cóż ja mogę zrobić, proszę księcia — odrzekł kapitan. — Mam tu na pokładzie dziewięćset siedemdziesiąt pięć pasażerów. Czy mam każdego poddać osobistej rewizji?

— Nie każdego. — Uważam tu za winnego kradzieży pana Granta Slattery .Był on najzagorzalszym wrogiem Blunna, lecz mimo to często wstępował do niego i rozmawiał z nim. Znał dobrze drogę do jego apartamentu. Jest on bezsprzecznie winien.

— To też zrobiłem w tej sprawie więcej, niż należało — zauważył kapitan. — Przeszukałem dokładnie jego kajutę. Pozatem steward, czuwający przy Blunnie, widział jak wchodził nocą do siebie. Niema żadnych poszlak przeciwko temu młodemu człowiekowi.

— Niewątpliwie powierzył już kasetkę komu innemu — wtrącił książę von Dirs. Należałoby przeszukać apartament i bagaże jego przyjaciół.

— Łącznie oczywiście z apartamentem lorda Yeovila — odpowiedział kapitan z wyrozumiałym uśmieszkiem.

— Kasetka musi się znaleźć — nastawał książę Lutrecht.

— Panowie — odpowiedział kapitan — pomówię o tej sprawie z moimi oficerami. Postaram się spełnić życzenia panów, zaznaczam jednakże, że nie będę czynił żadnych poszukiwań w apartamentach premjera ministrów mego kraju, lorda Yeovila. Jego bagaż osobisty i oficjalny — to rzeczy nietykalne. A teraz muszę panów przeprosić i wrócić na moje stanowisko.

Oczywiście nic nie wykryto i nic nie odnaleziono, choć Lutrech i von Dirs obiecali miljon dolarów, za odnalezienie małej, złotej szkatułki.

W porcie oczekiwał Sefalonję cały legjon dziennikarzy i detektywów. Lord Yeovil, Zuzanna i Grant opuścili okręt jedni z pierwszych. Oczekiwał ich Hudson i udali się razem do hotelu na Park Avenue. Po drodze jednak kazał Hudson zmienić kierunek i wieźć wszystkich do komendy policji.

— Gonią nas jakieś dwie, podejrzane taksówki— oświadczył obecnym. — Obawiam się, że nie obejdzie się bez strzelaniny. Dlatego myślę, że będziemy w komendzie najbezpieczniejsi.

Jedyny bagaż, jaki wieźli ze sobą to były dwie urzędowe walizy, obite czarną skórą, z białym herbem i inicjałami lorda Yeovila. Rzeczy te nie podlegały rewizji celnej i znajdowały się razem z nimi w aucie.

— W której? — spytał krótko Hudson.

Grant dotknął nogą leżącej obok niego walizki a Hudson wziął ją ostrożnie na ręce.

— Trotuar nie jest szeroki. Jeżeli więc pędzący za nami łotrzy zranią mnie, dojdę i tak do wnętrza.

Wysiedli. Hudson skoczył naprzód, za nim lord Yeovil i Grant z Zuzanną. Zaledwie skoczyli na schody, wiodące do wejścia, dano kilka strzałów z nadjeżdżającego auta. Nie zraniono jednak nikogo. Nadbiegło kilku policjantów i detektywów i zamknęło za nimi drzwi.

— Gońcie tych drabów z taksówek — krzyknął do nich Hudson, macając się po łydce i nie dowierzając jej całości. — Tędy, Grant!

Dostali się wreszcie do wnętrza budynku. Bez ceremonji weszli do jednego z pokoi. Jakiś zdziwiony sekretarz skoczył od biurka, lecz bardziej jeszcze zdziwił się naczelnik, widząc Hudsona. Funkcjonarjusz odszedł.

— Dostaliśmy ją — wykrzyknął Hudson. — Mamy tu dokumenty, które mogą skazać setki naszych obywateli za zdradę stanu. Podręczna książeczka Blunna, albo drogi do ugruntowania monarchji niemieckiej w Ameryce.

— Pański ostatni raport sprawdził się co do joty, pułkowniku — odpowiedział naczelnik — dziwię się, że nie zbombardowali jeszcze tego miejsca.

— Teraz będzie już koniec wojny dawnej — westchnął z ulgą Grant.

ZAKOŃCZENIE.

Preliminarja konferencji rozbrojeniowej w Waszyngtonie były szeregiem kompromitacji dla przed stawicieli Niemiec i Japonji. Książę Lutrecht, baron Yoshimo i jego sekretarz Itash z trudem wyszli z honorem z opresji, w jakiej znaleźli się niespodzianie.

W zacisznym gabinecie Białego domu kończył lord Yeovil swą konferencję z przewodniczącym sesji.

— Muszę pana opuścić — rzekł premjer spoglądając na zegarek. O godzinie pierwszej odbędzie się ślub mej córki z Grantem Slattery i urządzamy skromne śniadanie w naszej ambasadzie. Sądzę, że otrzymali państwo już zaproszenie i że będziemy mieli przyjemność gościć pana wraz z małżonką.

— Jestem pewny, że mogą państwo liczyć na nas i niechże pan zaraz przyjmie me najserdeczniejsze życzenia. Grant Slattery, to dzielny człowiek i tylko nieliczni z pośród nas mogą ocenić, ile zawdzięcza mu Ameryka.

— Nietylko wasze państwo, ale cały świat. Odwróciliśmy przy jego pomocy burzę, oby na długo!

KONIEC.

WIKTOR PRZECŁAWSKI.



XI.

Wodzowie rewolucji ustawicznie mają przed oczyma jakoby niepokonaną potęgę Rosji. Są nią często poprostu zaślepieni, i przez to samo poniżają i lekceważą walory polskie. Nie od rzeczy przeto będzie przeliczyć pokrótce siły Rosji i siły Polski i wyprowadzić stąd odpowiednie wnioski. Zastanowienie się następnie nad walorami obu stron, da nam wreszcie całkowity obraz.

W porównaniu nawet do ogółu ziem polskich, a tem bardziej do Królestwa Kongresowego, Rosja posiadała olbrzymią przewagę sił i środków do walki. Przedewszystkiem ludność jej wynosiła wtedy już przeszło 52.000.000, w czem około 25.000.000 chłopów (dusz) prywatnych, przeszło 17.000.000 chłopów skarbowych i około 10.000.000 innych stanów. Ludność ta zajmowała przestrzenie bardzo duże, gdyż przeciętna gęstość zaludnienia była tu wtedy dwa razy mniejsza, niż w Królestwie.

Lecz te olbrzymie siły Rosji ówczesnej zmniejszał bardzo poważnie fakt stosunkowo niewielkiej ich rozporządzalności w ręku państwa. Chłopi prywatni bowiem, niemal wyłączeni byli z pod działania administracji państwowej, która nie była w stanie należycie ich wykorzystać, ani pod względem podatkowym, ani wojskowym. Zresztą położenie tych chłopów było bardzo złe. Ówczesne bowiem „poddaństwo" rosyjskie było równoznaczne z niewolnictwem. Rodzina włościańska, nie posiadająca ziemi, mogła być każdej chwili sprzedana (a wolno było sprzedawać każdego z członków rodziny oddzielnie), chłop zarobkujący w mieście, musiał swemu właścicielowi płacić od swego zarobku podatek, — opornych zaś można było zawsze oddać do wojska, do fabryk na Uralu lub wysłać na Syberję. Rząd nie zajmował się wcale sprawą rozmiarów pańszczyzny i nadziału ziemi, — zwykłe prawo nie dotyczyło włościan, — byli oni poprostu wyjęci z pod prawa i oddani pod specjalną administrację patrymonjalną.

Trochę lepiej działo się włościanom skarbowym, lecz i ich uciskano okrutnie, pogarszając ogólne położenie przez ustawiczne nadużycia, których dopuszczały się bezkarnie zarówno administracja skarbowa, jak i władze gminne. Tak więc państwo, jako takie, rozporządzało właściwie małą częścią ludności, na niej tylko opierało większość swych dochodów, i w swoich podstawach było już zachwiane. Lokalne bunty włościańskie zdarzały się za panowania Mikołaja bardzo często i wybuchały zarówno w domenach prywatnych, jak i w fabrykach i dobrach rządowych. Rząd wysyłał wtedy oddziały karne i bez litości karał opornych.

Oczywiście, że w takich warunkach stan rolnictwa nie przedstawiał się dobrze. Poziom kultury rolnej był niesłychanie niski, układ stosunków socjalnych niebezpieczny, a w dodatku ceny zboża zagranicą ustawicznie spadały. Wpływy z podatków gruntowych malały i każdy rok przynosił pogorszenie. Produkcja, oparta na tak nikłej, często niemal pierwotnej kulturze gospodarczej, wykazywała wielkie a nigdy nieobliczalne wahania, mające często fatalne następstwa. Równie jak do buntów dochodziło często do głodów lokalnych, zaradzić którym było niesłychanie trudno, z powodu godnego pożałowania stanu dróg i zupełnie niepewnej komunikacji. Rok 1831, jako rok wojny, podniósł znacznie ceny zboża, lecz to znów odbiło się ujemnie na i tak już wielkich wydatkach wojennych.

Lepszą była znacznie sytuacja przemysłu fabrycznego. Rozwinął się on w Rosji szczególnie w 2-ch kierunkach — tkackim i metalurgicznym, podniósł się poważnie od czasu prohibicyjnej taryfy w r. 1822, oraz dzięki obfitym subwencjom skarbu i zamówieniom wojska. A jednak technicznie, był ten przemysł bez porównania słabszy od naszego. Nie używał bowiem maszyn parowych, opierał się wyłącznie na energji wodnej, nie użytkował węgla, bo go wcale jeszcze nie wydobywano, nie posiadał należytego kierownictwa fachowego, a mimo to wszystko opłacał się jedynie dzięki taniości pracy robotnika, który w większości swej był chłopem pańszczyźnianym. Rok 1830 przyniósł temu przemysłowi bardzo poważne straty. Rozszalała się cholera, — robotnicy całemi tłumami uciekali z miast do wsi, — musiano zamykać fabryki, a zbyt gotowych już wyrobów stał się niezwykle utrudniony.

Najwyżej stał handel. Kupiec rosyjski odznaczał się dużą ruchliwością, utrzymywał stałe stosunki z Azją i umiał surowce krajowe sprzedawać na zachodzie. I tu jednak cholera 1830 r. ruch ten powstrzymała i uniemożliwiła komunikację z zagranicą. Lecz bilans handlowy Rosji, począwszy od roku 1812, był stale czynny. Przeciętna wartość dowozu w roku 1829 wyniosła nie całe dwieście miljonów rubli, podczas gdy wartość wywozu sięgała prawie 218 miljonów.

Nad całą ówczesną Rosją, gdyby ponury cień, ciążyła władza Mikołaja I-go, podobnie jak nad Polską ciążył w. ks. Konstanty. Car Mikołaj był zdecydowanym zwolennikiem absolutnych rządów personalnych, dążąc równocześnie do jak najszybszego usprawnienia rządów administracji lokalnej. Obniżył przeto znacznie ustaloną dotąd powagę rady ministrów, cały nacisk kładł na sprawozdania osobiste ministrów u siebie, stworzył cesarską kancelarję przyboczną, której nadał dość znaczny zakres działania, powiększył także etaty władz centralnych, rewizje działalności władz i urzędów przeprowadzał, często osobiście. Prowincje obsługiwał przez t. zw. rewizje senatorów. Wykryły one niesłychane wprost nadużycia oraz taki bezład administracji i sądownictwa, że reformy stawały się krzyczącą koniecznością. Mikołaj to zrozumiał, lecz wobec machiny biurokratycznej uczuł się bezsilnym. Na szczycie jej stali od wieków przedstawiciele jednych i tych samych rodzin, a u dołu ludzie zawsze źle płatni, zawsze zdani na łaskę przełożonych, nędzę swą łatający wymuszaniem łapówek. A jednak cała ta biurokracja była solidarna, doskonale umiała bronić tajemnicy swoich nadużyć i nie dopuszczała do centrum nigdy niczego, co nie odpowiadało jej interesom. Wzmożony ruch w centrum? To była tylko wzmożona pisanina, w której tonęło wszystko: pomysły naprawy, słuszność, możliwości wszelkie i wszelka najprostsza prawda. Gubernatorowie uniezależniali się od ministrów, prowadzili gospodarkę na własną rękę, opodatkowywali urzędników i dzierżawców monopolu wódczanego i przemocą tłumili wszelkie skargi. Usuwanie ich ze stanowiska nic tu nie pomagało. Nowi bowiem robili to samo.

Ale ta marna administracja była także niedołężna i tchórzliwa. Kiedy latem r. 1830 wybuchła w Rosji cholera, nikt nie umiał dać sobie rady z paniką, szerzącą się wśród mas ludowych, lecz każdy, nawet w tem strasznem położeniu, umiał znaleźć zyski osobiste.. To też ferment wewnętrzny w państwie rósł, a wzmożenie dozoru nad wszystkiemi warstwami społeczeństwa bynajmniej nie mogło go powstrzymać. Tedy zaczęto dusić. Ustawa o cenzurze z r. 1826 położyła kres wszelkiej swobodzie prasy i wydawnictw, ustanowienie zaś III-go oddziału kancelarji cesarskiej i korpusu żandarmów oddało całe życie państwa pod niemal stałą kontrolę policji tajnej.

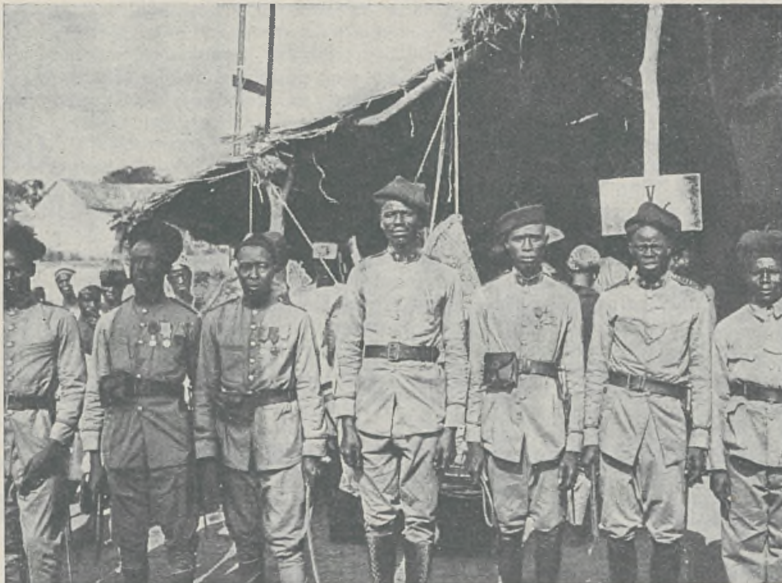
(C. d. n.)

Jarmark

ROMAN SOBOLEWSKI.



Powitanie gubernatora.



Policja kolorowa.

W pierwszych dniach maja miał się odbyć w Kankan, głównem mieście Wysokiej Gwinei, doroczny jarmark, połączony z wystawą krajową. Na jarmarki te zjeżdża ludność z najdalszych krańców kraju, a nawet spotyka się mieszkańców pobliskiego Sudanu i Wybrzeża Kości Słoniowej. Jarmarki te nie mają zazwyczaj zbyt wielkiego handlowego znaczenia — jest to raczej przegląd miejscowej wytwórczości rolnej i rzemieślniczej. Zapowiadał się jarmark świetnie — przewidywany był przyjazd gubernatora Gwineji z Conakry, oraz liczny zjazd urzędników administracji kolonjalnej i miejscowych kolonistów — białych. To też, już na parę dni przed terminem oficjalnego otwarcia wystawy, władze poczyniły odpowiednie zarządzenia, celem należytego przygotowania i zorganizowania tej imprezy. Od wczesnego ranka widać było dziesiątki czarnych, krzątających się przy budowie prowizorycznych szop, pawilonów, oczyszczających teren, oraz upiększających go niezliczonymi masztami, z popularnemi już tutaj tricolore'ami — flagami o barwach francuskich. Jak zwykle gromada gapiów, obserwujących z należytą uwagą pracę robotników, wielokrotnie przewyższa ilość pracujących. Uwijają się wśród nich niezmordowanie policjanci, wyłącznie czarni, ze zwykłą energją i bezwzględnością zaprowadzając porządek wśród swych rodaków, za pomocą silnych uderzeń pałek. Miasteczko, zazwyczaj ospałe i niezbyt ludne, zmieniło swój wygląd do niepoznania: ludność wzrosła kilkakrotnie. Na uliczkach, zabudowanych niskiemi domkami o wielkich podcieniach, zaobserwować można niezwykły ruch. Miejscowe faktorje handlowe robią świetne interesy, sprzedając przybyszom materjały i wyroby europejskie.

Za dzielnicą tubylców, na krańcu miasta, poza rzędem licznych, ulepionych z gliny i pokrytych stożkowym, trzcinowym dachem chat murzyńskich — wyrosło jakby nowe miasto obozowisk przybyszów, świecące wieczorami tysiącem ognisk oraz rozbrzmiewające gwarem głosów i okrzyków. Ponad niemi góruje jednak odgłos bębnów i — rodzaju cymbałek — narodowego instrumentu muzycznego tubylców. Można tu spotkać przedstawicieli wszystkich niemal miejscowych szczepów: a więc poza „malinke", zamieszkującymi Haute Guinée, znajdujemy tu krajowców ze szczepów fula, susu, baga, toma i wielu, wielu innych. Bogactwo typów — ogromne. Poza „fula" — o prawidłowych, wykazujących znaczną domieszkę krwi arabskiej, niemal pięknych rysach twarzy — krajowcy ze szczepu „toma", o twarzach grubych, zwierzęcych, jakby wyciosanych toporem, ze spiłowanemi przednimi zębami, — pozostałością, wskazującą na ich dawne zamiłowanie do mięsa ludzkiego. Widzi się tutaj wszystkie kolory skóry — poczynając od czarnego, hebanowego — aż do prawie białego, właściwego dla mulatów. Wielka rozmaitość rodzaju odzienia oraz jaskrawe, krzyczące barwy tkanin, z których je sporządzono, wraz z ciemną, połyskującą od potu skórą — tworzą jedyny w swoim rodzaju obraz. Między tłumem ludzi przeciskają się niewielkie karawany osłów, obładowanych ciężkiemi pakami, tłoczą się wszędzie małe, niezgrabne owce; niekiedy przepędzają stado bydła lub koni. Od czasu do czasu tłum się rozstępuje, by zrobić wolne przejście orszakowi któregoś z kacyków — naczelników kantonów — przybywających hucznie i okazale na jarmark. „Potentata" takiego, niesionego zazwyczaj w rodzaju prymitywnie skleconej z bambusów i mat lektyce, lub dosiadającego z powagą małego, sudańskiego konia, lub wreszcie jadącego na... rowerze, z przymocowanym sznurkami parasolem, otacza cała gromada służby i zaufanych. Obok dostojnika biegnie nadworny błazen, przez cały czas wykrzykujący pochwały na cześć swego pana. Poprzedza taki orszak krzykliwa orkiestra, złożona z „dumdumdi" i wielce hałaśliwych bębnów i cymbałków. Bardziej gorliwi członkowie asysty, biegnąc dookoła lektyki lub konia, uderzają z zapałem, godnym lepszej sprawy, kawałkiem żelaza o jakiś przedmiot metalowy, czyniąc tembardziej nieznośnym hałas tej „muzyki". Wszystko to pędzi kłusem, mimo, że tragarze, niosący na swych głowach przedmioty, należące do kacyka, uginają się niekiedy pod ich ciężarem. Od ruchliwego, krzykliwego tłumu odbija się wydatnie spokojna, uroczysta twarz dostojnika miejscowego, zwykle w podeszłym wieku, odzianego w powiewne, szerokie szaty o kroju arabskim, z przewieszoną przez lewe ramię ozdobną szablą.

A trzeba wiedzieć, że władza takiego naczelnika kantonu w stosunku do zarządu kolonjalnego prawie żadna, — w stosunku do czarnych — jest dosłownie nieograniczona. Osobnik taki każe sobie płacić w naturze tak wysokie podatki, na jakie mu przyjdzie fantazja, — tyranizuje podległą mu ludność i w wypadku jakiegokolwiek przewinienia z jej strony, karze ją surowo i bezwzględnie. Sposób zaś karania jest niezwykle prędki i radykalny. Gdy który z murzynów ściągnie na siebie gniew kacyka — wystarczy tylko lekki ruch jego ręki — a zaufani słudzy podkładają natychmiast ogień pod „kazę" *), winnego, i cały jego dobytek idzie z dymem. Ponieważ nie wolno ratować palącego się budynku, niekiedy giną w nim małe dzieci nieszczęsnego... Gdy biały zabije przypadkowo lub zrani krajowca, co zdarza się niekiedy podczas polowań, zmuszony jest płacić wysokie kary i odpowiada sądownie. Kacykowi takie rzeczy uchodzą bezkarnie, zresztą nikt z ludności na to nie sarka.

Towar, rozłożony na ziemi, pokrywa się po chwili rozłożony wprost na ziemi, pokrywa się po chwili grubą warstwą kurzu i czerwonawej ziemi — nie odstręcza to jednak bynajmniej kupujących. Większe zbiegowiska tworzą się koło licznych muzykantów, którzy w wielkiej liczbie zjechali na ten dzień do Kankan. Od czasu do czasu, któryś z bardziej przejętych słuchaczów puszcza się w dziki ta-

*) chata murzyńska.



Muzykanci.



Taniec kobiet „malinke".

(Korespondencja własna z Afryki).

w Kankan

niec, bardzo zresztą przypominający nasze niedawne, modne charleston'y. Tłum widzów wydaje okrzyki do wtóru muzyki i klaszcze do taktu w dłonie.

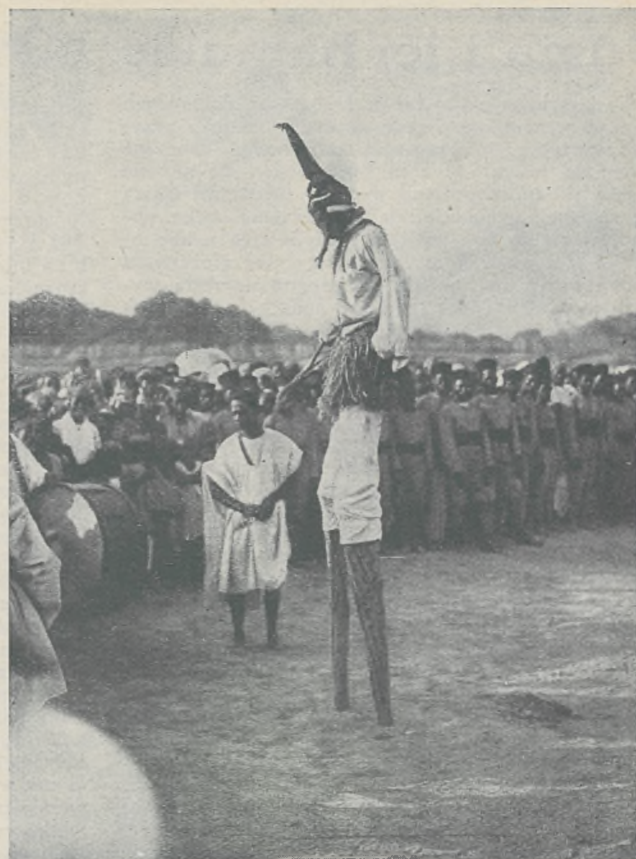
W dzień otwarcia jarmarku tłumy krajowców zaległy plac wystawowy, utrzymywane w porządku przez czarną policję. Po środku wystawiono niewielki pawilon, pod którym zgromadzili się wszyscy biali, znajdujący się wówczas w mieście. Krajowcy utworzyli wielki prostokąt dookoła pawilonu. Na przedzie, przed szeregami czarnych, ustawili się muzykanci, kuglarze i tancerze — po bokach — oddziały strzelców kolonjalnych. Wreszcie, po chwili oczekiwania ukazuje się w bramie grupa białych postaci w hełmach, zmierzająca w stronę pawilonu. Gubernator w otoczeniu urzędników administracji, których poznać można po czarnych, haftowanych srebrem mankietach i naramiennikach na białych ubraniach, zajmuje miejsce pod pawilonem. Rozlega się krótka, gardłowa komenda w języku malinke — czarni strzelcy prezentują broń, wszystkie zaś bębny, piszczałki odzywają się naraz, wspomagane przez ogłuszające wrzaski czarny. Hałas jest taki, że słychać go chyba o parę kilometrów!

Zaczynają się popisy taneczne. W miarę brzydkie, lecz dość zręczne tancerki tworzą krąg i posuwają się ruchem tanecznym wkoło. Poszczególni muzykanci, nie przestając grać na swych instrumentach, zaczynają niebawem posuwać w podskokach się wślad za tancerkami. Nad całością tych popisów mają pieczę specjalni, jakby mistrze ceremonji, którzy okrzykami podniecają tańczących do bardziej żywiołowych wyczynów tanecznych. Wszystko to odbywa się przy akompanjamencie ogłuszającej muzyki i okrzyków zebranych. Uderza wyjątkowe wprost poczucie rytmu muzyki u tańczących, którzy przez cały czas ściśle stosują się do taktu.

Gubernator ze swem otoczeniem obchodzi poszczególne stoiska i działy wystawy — jarmarku. Widzimy więc najpierw zgromadzone razem płody ziemi afrykańskiej: paki bawełny, kapoku, stosy ryżu, orzechów oleistych, piramidy fioletowych orzechów kola, różne gatunki bobu, wydrążone dynie, wypełnione po brzegi czarną fasolą; dalej rozłożono owoce — a więc żółto - zielone pomarańcze, zielone, małe cytryny, złociste, lekko zarumienione, jak nasze jabłka, podłużne owoce mango, wielkie papaje, gajawy, granaty i wspaniałe, soczyste ananasy; wiszą pękate, jasno-zielone kiście bananów, leżą stosy orzechów palmowych, — i wiele, wiele innych, których nazw nawet zapamiętać trudno. Nieco dalej zgromadzili się sprzedawcy mat, starannie tkanych z włókien palmowych lub trzciny, pięknie barwionych, wyrabianych w prymitywne lecz mile uderzające oko desenie. Opodal dostrzegamy zwoje lin, skręcanych z włókien ljan, których pasma, zawieszone u pułapu szopy, tworzą jakby jedną wielką kotarę, poruszaną wiatrem. Dalej umieściły się kobiety, sprzedające miejscowe samodziały wełniane i bawełniane, pasiaste, z przeważającym kolorem granatowym na białem tle i czarny. Chusty kwadratowe, barwione w indygo lub tkane w desenie, stanowiące podstawową i jedyną część składową miejscowego ubrania kobiecego — są mało reprezentowane: tandeta europejska, drukowana specjalnie w guście krajowców, wypiera prawie zupełnie tę gałąź wytwórczości. W innym końcu placu — mienią się barwy bronzowe, żółte, czarne i białe — to handlarze skór wywiesili piękne okazy swego towaru. Widzimy skóry panter, miejscowych małych tygrysów, antylop, — niekiedy mignie skóra lwa; pozatem mamy tu reprezentowane różne gatunki małp, leopardów i innych drapieżników. Nieco dalej rozpostarto skóry wężów i jaszczurek, a więc ogromne, trzymetrowe skóry pytonów — boa, „cracheur'ów" (plwaczy), wężów zielonych, trigonocephal'ów o trójkątnej, spłaszczonej głowie; piękne okazy różnego rodzaju jaszczurek i tak tu licznych kajmanów. Opodal znajdujemy wyroby ze skór — poduszki, zeszywane z kilku rodzajów skór, obszyte długą frendzlą ze skóry antylopy, wielkie poduszki owalne, plecione z wąskich, barwionych na czarno, czerwono i biało, pasków skóry, układanych w fantazyjne desenie, torby ozdobne ze skóry których płatnerze i miejscowi złotnicy i jubilerzy panter i t. p. Zaraz obok znajdują się stoły, na rozłożyli swe wyroby. Tutaj gromadzą się przeważnie europejczycy, a zwłaszcza nieliczne tu zresztą, panie — żony i córki miejscowych białych. Znajdujemy tu najrozmaitsze wyroby z kości słoniowej, jak różnego rodzaju i kształtu branzolety, naszyjniki, medaljony, cygarniczki, kolczyki, przetykane włosem słonia, — wyroby ze złota i srebra, starannie cyzelowane figurki z kości i hebanu — wreszcie ozdobne szable i szylety w pochwach skórzanych, plecionych i barwionych — siekierki i włócznie. Koło wszystkich stoisk tłok — słychać podniesione głosy kupujących i sprzedających, targujących się zawzięcie. Przy kupujących wyrastają, jakby z pod ziemi niewzywani doradcy i tłomacze, którzy bądź zachwalają towar, bądź wytykając nieistniejące często braki, obniżają cenę. Należy im się za to oczywiście podziękowanie pod postacią mniej lub więcej wygórowanego napiwka. A targować się trzeba, gdyż kupcy żądają zwykle za swój towar cen, kilkakrotnie przewyższających jego rzeczywistą wartość. Zazwyczaj kupuje się przedmiot za pół, a nawet niekiedy, jedną trzecią część pierwotnie żądanej ceny.

Inny obraz mamy poza budami handlarzy — odbywa się tutaj jarmark koński i bydlęcy. Sprowadzono wielką ilość koni, gdyż następnego dnia mają się odbyć wyścigi. Wiele z tych koni jest na sprzedaż. Przeważają drobne, lecz pięknie zbudowane koniki sudańskie, ze znaczną domieszką krwi arabskiej. Właściciele zachwalają swe zwierzęta, przybrane w ozdobne rzędy, z długiemi, opadającemi prawie na ich oczy frendzlami.

(Dokończenie w następnym numerze)



Kuglarze.



Koń sudański.



Orkiestra z Kissidougou.



Zespół orkiestralno-wokalny.

Dusza i jej hamulec

Nie jest bynajmniej łatwą rzeczą dla duchowych przeżyć, charakteru i jego objawów znaleźć przykłady z życia materjalnego, codziennego, choć już wspaniałe przykłady z biblji dowodzą, że nic nie oddaje skomplikowanych drgnień i przeżyć duszy tak zrozumiale i dokładnie, jak właśnie obraz, porównanie, albo przypowieść. Jeżeli więc mamy określić, zobrazować funkcje duszy, jej złożony, a jednak czuły mechanizm, po długim namyśle wybrałbym jedynie jako jej odpowiednik — zwyczajny gramofon.

Przy każdym gramofonie jest regulator, przez którego nastawienie możemy tempo piosenki, czy melodji zwolnić, albo przyśpieszyć. Zauważamy przytem, że równocześnie ze zwolnieniem tempa, obniżają się tony melodji. Spadają one powoli, ale nieuchronnie i wreszcie najweselszy przebój taneczny przechodzi w powolny, smutny marsz pogrzebowy. Jest przy gramofonie i drugi hamulec na wierzchniej części pudła. Naciska się go i płyta staje. Podobnie, ale bynajmniej nie tak samo, przedstawia się sprawa, jeśli idzie o hamulec duszy. Są takie, które cały bieg jej, melodję duszy, zwalniają. Wszystko, co w niej pędzi zwykle naprzód, przechodzi wtedy w rytm marsza żałobnego — jasne, wysokie przedtem tony spadają do niskich i ciemnych. Ale podczas, gdy w gramofonie hamowanie biegu, czy regulowanie tempa jest przyczyną, zachodzi wcześniej, niż samo zwolnienie melodji, to w duszy ludzkiej dzieje się najczęściej odwrotnie. Smutek, przygłuszenie muzyki (jeśli już mamy operować tem słowem), zjawia się wcześniej, a dopiero potem zjawia się zahamowanie, jako skutek. Co się zaś tyczy hamulca, który w gramofonie zupełnie przerywa bieg płyty i powoduje natychmiastową ciszę, to użycie go, jako przykładu w dziedzinie ducha, również napotyka na zastrzeżenia. Dusza nieczynna, zupełnie nie myśląca, nie odczuwająca — czyż da się pomyśleć? Czyż jest duszą? Cudowny jej mechanizm musimy sobie wyobrazić, jako maszynę o niezliczonej ilości regulatorów i hamulców, a każdy zdolny jest powstrzymać inną czynność, sprawność — że użyjemy tu jeszcze jednego wyrażenia z mechaniki. Rozumie się, że hamulec nie zawsze dopisuje, nie zawsze mamy dość siły, aby go użyć.

Ale większość ich jest nam uległa i od nas zależy, aby tak było. Bowiem niekontrolowana dusza rozleciałaby się, jak automatyczny samochodzik-zabawka, który, puszczony w zbyt szybki ruch, uderza o ścianę i psuje się.

Normalna dusza posiada więc, jak i gramofon, który odpowiednio nastawiony, oddaje najwyraźniej, harmonijnie i dźwięcznie melodję — swój splot pewnych warunków, przy uwzględnieniu których pracuje bez zarzutu. I posiada, jak gramofon, wprawdzie nie jeden, ale wiele hamulców, które zatrzymują fałszywe melodje, zgrane płyty, albo „kawałki" szkodliwe, zabronione przez cenzurę. Dusza niezdrowa została więc nastawiona, albo na zbyt szybkie, albo zbyt wolne tempo i hamulce zostały użyte niewłaściwie, za często lub zbyt rzadko. Niestety, niema wśród nas nikogo, który mógłby się pochwalić, że jest panem całego mechanizmu swej duszy. Wszystkie one bowiem działają raz lepiej, raz gorzej. Tak więc możemy na nas samych zaobserwować, jak przy smutnym nastroju, szybkość naszego tempa duchowego wolnieje. Odbija się to wyraźnie na fizycznym stanie człowieka. Stały bywalec kina może sobie takie rzeczy doskonale uprzytomnić. Przecie bohater czy bohaterka filmu, występując w scenie, w której spotkało ich nieszczęście, zdrada, zawód — bezpośrednio po tem opuszczają bezwolnie ramiona, wyraz twarzy mają bezradny, a ruchy ich są senne, jakby powolne i ociężałe. Na czas dłuższy, lub krótszy, została zahamowana ich dzielność i energja. W teatrze także postać tragiczna mówi często przyduszonym, smutnym szeptem, którego często nie słychać dobrze w dalszych rzędach krzeseł. Brak wtedy siły do przezwyciężenia, hamulca, który sparaliżował aktorowi głos i ruchy, — naturalnie, jeżeli dobrze oddaje przeżycia człowieka, zgnębionego nieszczęściem. Aktorzy przecież odzwierciadlają życie takiem, jakiem jest.

Mam wrażenie, że ten stan duchowy, kiedy coś w człowieku zostało zahamowane, przytępione—znajduje swój odpowiednik i w muzyce, przy zmianach tonacji Moll w Dur i naodwrót. Wyraźnie różni się melancholiczna tonacja Moll od wesołej, mocnej, niepohamowanej Dur, przez zastosowanie małej tercji. Trzecia nuta w gamie jest w Moll o pół tonu niższa, niż w Dur. Uwzględniający tę zmianę tonacji śpiewak pozostaje o pół tonu w tyle. Tak samo, jak ludzkie słowa w chwili depresji nie mogą zdobyć się na właściwą siłę, tego rodzaju osłabienie, zahamowanie władz duchowych zaostrza się, kiedy depresja duchowa łączy się z chorobą lub w nią przechodzi. Wtedy już umysł pracuje z trudnością, wszystko nie jest tak na miejscu, jak przedtem.

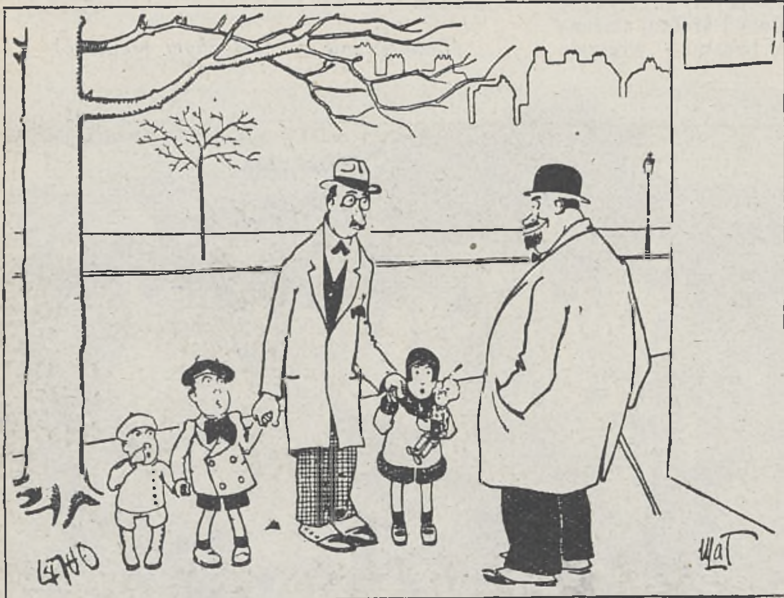
Siła wyobraźni maleje, wola zostaje osłabiona. Każda praca przedstawia dla chorego masę wysiłku i przeszkód, leżących w nim samym. Daje się zauważyć, że cały ten stan duchowy chorego bywa niezauważony przez najbliższe otoczenie, które robi mu wymówki i nieraz krzywdzi go przez pozbawienie pracy, nie rozumiejąc, że w duszy tego człowieka coś się zatrzymało, coś nie działa i najczęściej nie z jego winy. Według uczonego niemieckiego, Bunkego, podobny zastój duchowy zdarza się najczęściej wśród urzędników, ludzi pracujących mechanicznie. Sytuacja staje się tragiczna, kiedy w taką depresję popadają jednostki, których byt zależy od skupienia energji czy wiedzy w kilku godzinach dziennej, samodzielnej pracy jak naprzykład: lekarze, prawnicy, pisarze, oficerowie, handlowcy i t. d.

Akty spraw leżą niezałatwione, listy pozostają bez odpowiedzi, interesy podupadają, dom i rodzina pozostają na Bożej opiece.

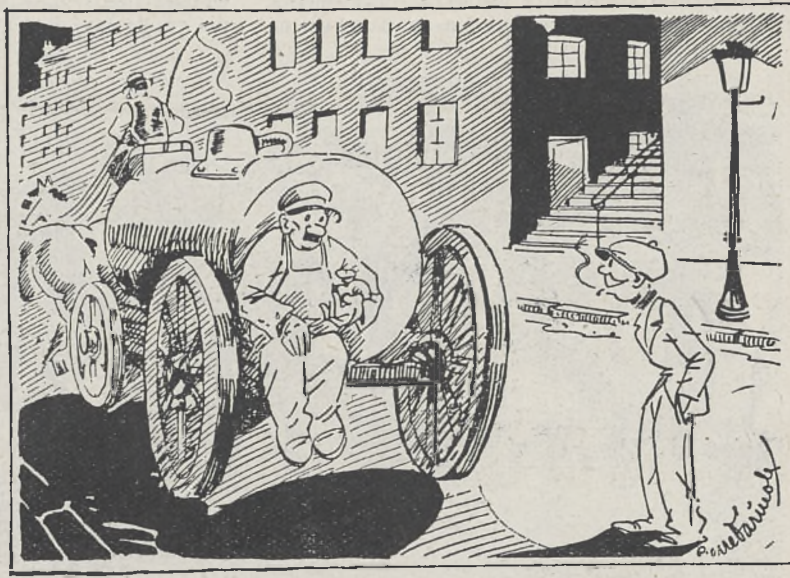
Inny uczony podaje jako przykład pewną damę, która rano ubrała się do wyjścia na miasto i, nie zdając sobie z tego sprawy, przesiedziała tak w pokoju do późnego popołudnia. Liczni z tych nieszczęśliwców stają gdzieś w jakimś kącie, długo nieporuszeni, nic prawie nie myśląc. Ten stan zahamowania władz duchowych zmusza ich często do szukania ratunku u lekarzy, a nieraz powoduje samobójstwo. Jedną z przyczyn bywa nienormalna, uciążliwa praca. Każdy z nas, może zrobić na sobie doświadczenie, że przeciążenie pracą odbija się nietylko na ciele, lecz i na duszy. Człowiek znużony, przepracowany, nie ma już normalnej siły woli. Przemęczenie podobne jest nawet do pewnych objawów zatrucia i może jest niem do pewnego stopnia. Zdarzają się ludzie, u których ten stan zatrucia duchowego, spowodowanego zmęczeniem, występuje łatwo, i równie łatwo ginie. Tutaj także daje im otoczenie etykietę lekkomyślnych i leniwych, bardzo często niesłusznie. Ten sam Bunke posuwa się dalej, twierdząc, że wielu ludzi, albo wcale nie osiąga celu swego życia, albo z wielką trudnością, dlatego tylko, że jako największy hamulec występuje u nich zmęczenie, osłabienie władz duchowych, pimiłą i żmudną pracą. Ogólnie wiadomem jest, że genjusz musi posiadać obok talentu żelazną cierpliwość i zdolność do nadludzkiej pracy. Oprócz tego, zdarza się bardzo wielu ludzi, którzy nie mają wiary w siebie, we własne siły i zdolności. W takich wypadkach najgłówniejszą rolę grają okoliczności życiowe, przeżycia i doświadczenie. Nawet niektóre narody w młodości swojej nie zdają sobie sprawy z otoczenia, z roli, jaką mogą w nim odegrać, nie znają własnych możliwości i nieraz sił swych używają na swoją szkodę, ale bezprodukcyjnie; często nawet nie wierzą we własne siły. To samo, ten wpływ autorytetów, może być zaobserwowany przez nauczycieli i rodziców na każdem małem dziecku. I takie rzeczy, jak niepowodzenie, smutne doświadczenia, które na młody umysł wywierają silne wrażenie i są swojego rodzaju hamulcami, winny być bacznie obserwowane i konsekwentnie neutralizowane.

Ale obok całej masy ludzi, tak czy inaczej zahamowanych, jest ogromna ilość tych, którzy nie uznają hamulców. Wszyscy ci są więcej lub mniej ogarnięci czemś, co jako choroba nazywa się manją, wielokrotnie powiększoną. Są to ludzie, którzy zawsze znajdują się w kolizji z zimnym rozsądkiem. Wszystko widzą w różowych kolorach. Wszystkie przedsięwzięcia im się udają, ich zdolności są nieprzeciętne (trzeba koniecznie potakiwać), wszyscy są nimi zachwyceni i oni nawzajem wszystkimi. Nie mogą nigdzie zagrzać miejsca, wszystko ich zaciekawia, przytem jednak nie mogą się żadnej rzeczy poświęcić. Hamulce moralne nie są przez nich brane pod uwagę, a obowiązki zaniedbują. Nie dotrzymują ani przyrzeczeń, nie starają się poznać swoich najbliższych, nie zawsze są umiarkowani seksualnie i jeżeli popełnią coś kompromitującego, nawet nie zadają sobie trudu rzecz taką zatuszować. Drugim powodem braku duchowego opanowania jest chorobliwość systemu nerwowego. Tacy ludzie ulegają łatwo nieszczęściom, wpadają w gniew z najbłahszych przyczyn. Jest to najgorszy objaw przełożonych, kolegów i podwładnych. Najsmutniej jednakże przedstawia się ich życie rodzinne, gdzie ostatnie hamulce odpadają, a egoizm wyrządza innym niezliczone krzywdy. Istnieją wszakże odchylenia i przejścia między tymi typami ludzi, nieuznających hamulców. Każde wychowanie, jak daleko tylko sięga, moralnie czy społecznie, powinno mieć na celu, temu towarzyskiemu brakowi opanowania przeciwdziałać. Jest bowiem rzeczą możliwą, chorobliwą czy nieujarzmioną energję sprowadzić z błędnej drogi na właściwą, uczynić ją produktywną i pożyteczną. Najciekawsze jest jednak, że wiele z tych hamulców automatycznie odpada w chwili, gdy ludzie znajdują się w masie. Masa bowiem jest zawsze zdolna do wszystkiego i posiada swoistą psychologję. Istnieje w niej podświadoma skłonność do wyzbycia się wielu cech, z dziedziny tych właśnie hamulców i do możliwego cofania się w kierunku pierwotności. Simmel, naprzykład, twierdzi, że w każdej masie zachodzi charakterystyczne zjawisko: myśl traci na ostrości i jasności, a jej kosztem wzrasta zdolność odczuwania, impulsywność i uczucie. Nakoniec należy wspomnieć o tem, że także poetom, lub indywidualnościom artystycznym, przypisuje się swobodny, nie uznający hamulców sposób myślenia.

W duszy artystycznej łączy się zwykle pogoda i wyobraźnia, z pewnego rodzaju nieuznawaniem żadnych granic. Krytycyzm poety traci często na ostrości, podczas kiedy działa fantazja i daje się tu zaobserwować ciekawe zjawisko obrazowości myślenia, które, według dowodzeń antropologów, jest charakterystyczne dla ludzi dzikich. Może właśnie owa prymitywność poetyckiego myślenia jest winna temu, że nasze pokolenie coraz bardziej traci sympatję i szacunek dla poezji lirycznej.



— Co za cudne dzieciaki! To wszystkie — pańskie?
— Wie pan, że i ja się nad tem zastanawiam...



— Te, frajer! Czy to nie masz dość miejsca w środku, że aż wlazłeś na stopień?..

TO, TAMTO I OWO

CZY MIEĆ BĘDZIEMY KSIĄŻKI DŹWIĘKOWE?

Wynalazcy opracowują obecnie projekt, wprowadzenia książek dźwiękowych. Odbyły się już wstępne doświadczenia z tym nowym wynalazkiem, w obecności wydawców.

W książce „niemej", umieszczony będzie zwitek taśmy filmowej, połączony ze stojącym opadal aparatem; tekst książki rozwijać się będzie mechanicznie przed oczami widza, w szybkości zależnej od jego woli.

Sama książka „dźwiękowa" będzie filmem mówionym z tą jednak różnicą, że wówczas, gdy w mówionym obecnie filmie mowa jest rzadkością, tutaj stanowić będzie główną część filmu.

Film będzie tem dla książki dźwiękowej, czem są ilustracje, rysunki i ryciny dla książki niemej.

Trudno jest dziś przewidzieć konsekwencje spowodowane tą inowacją.

ASY PACYFIZMU.

Ogłoszona w amerykańskiem piśmie „World Unity" ankieta na temat, kto się najbardziej przysłużył sprawie pokoju światowego, wykazała, że osobą tą jest Ramsay Mac Donald. Poczem następuje szereg wybitnych osobistości doby obecnej, umieszczonych kolejno, zależnie od stopnia ich popularności: 2. Aristide Briand; 3. Jane Adams (Stany Zjednoczone); 4. Ghandi (przywódca Indusów); 5. Lord Robert Cecil; 6. Kellog; 7. Root (Stany Zjednoczone; 8. Lewison (Stany Zjednoczone); 9. Romain Rolland (Francja); 10. General Smuth (Afryka Południowa).

O WYBRZEŻU MORSKIEM W... CZECHACH.

Znanym jest powszechnie fakt, że Shakespeare w swojej prześlicznej „Opowieści zimowej", wystawionej parę lat temu i u nas, w teatrze Bogusławskiego, mówi o dzikim zakątku morskim w Czechach. Wiele osób uważa, iż jest to „błąd" lub też licentia poetica, na którą mógł sobie pozwolić genjalny dramaturg, tworząc baśń o zaginionych wiekach szesnastu lat dzieciach. Czemu więc w baśni nie mógłby przybić, płynący do Sycylji okręt Antinonusa do czeskich wybrzeży?...

Publicystka niemiecka, pani Tilly Edinger, ogłosiła niedawno ciekawe uwagi na ten temat. Shakespeare należał, według niej, do najbardziej oczytanych literatów w Anglji, a ówczesna inteligencja angielska wiedziała doskonale, jakie są stosunki geograficzne w Czechach. Nie można więc kłaść tej, bądź co bądź, wielkiej niedokładności na karb wykształcenia Shakespeare'a lub jego otoczenia. Toż jeszcze w 1619 r. wyraził się Ben Jonson, przyjaciel autora „Hamleta": „Shakespeare wprowadza w jednej ze swoich sztuk po kilku mężczyzn na scenę, którzy mówią, że ulegli w Czechach rozbiciu okrętu. A przecież tam w promieniu stu mil niema morza!"

Pewne światło rzuca na tę sprawę książka Edwarda Lippmana („Abhandlugen zur Geschichte der Naturwissenschaft") z r. 1906. Okazuje się, że na sto lat przed epoką Shakespeare'a, nazywano południowo-wschodnie wybrzeże Italji (Apulję) „Bohemją", prawdopodobnie na cześć wielkiego rycerza krzyżowego Bohemunda z Tarentu. Jeśli więc w „Opowieści zimowej" mówi się o Bohemji-Apulji, to nie wyda się już nam czemś dziwacznem ani to, że król sycylijski wychowywał się razem z królem czeskim, ani też to, że burza rozbiła sycylijski okręt u czeskich wybrzeży. Nie napróżno twierdzą pamiętniki klasztorne w Thann, że „w 1481 r. czternastu pątników, powracających z ziemi świętej, wylądowało w okolicach Czech (Bohemia), a następnie złożyli w kościele św. Teobalda w miejscowości Thann 50 funtów wosku, jako ofiarę ślubowaną na szczęśliwe odbycie wycieczki".

Wogóle, jeśli chodzi o znajomości geograficzno-przyrodnicze Shakespeare'a, to znaleziono, jak dotąd, *jeden* tylko „błąd" w jego utworach. W „Jak się wam podoba" mianowicie palma, na której Rozalinda znajduje wiersz Orlanda, rośnie w Ardennach, gdzie również przebywa lwica, zagrażająca Oliverowi. Akcja tej komedji rozgrywa się jednak w umyślnie zromantyzowanym lesie, gdzie wytworni dworacy rozmawiają z jeleniami, a księżniczka krwi pasie owce.

Wśród książek

Dr. Stanisław Piekarski. — Prawdy i Herezje — Encyklopedja wierzeń — wszystkich ludów i czasów, — Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie — 1930 — Zeszyt pierwszy, stron 48, — Zeszyt drugi, stron od 49 do 96.

Jest to wydawnictwo i bardzo potrzebne, i bardzo pożyteczne. Autor, zasłużony badacz i dziś pierwszorzędny znawca przedmiotu, ujął swe prace, poświęcone rozległej dziedzinie religjoznawczej w formę obszernego słownika, mającego dać wszystkie podstawowe wiadomości z zakresu tematu. Wiadomości te, ujęte interesująco, a zarazem przystępnie, podane są z największym objektywizmem, przedstawiając fakty i ich bezstronne określenie, które jest poprostu rzeczowym komentarzem, dalekim od wszelkich osądów i ocen. Są tu więc omówione religje, wyznania, dogmaty, obrzędy, kościoły i sekty, i celem całej pracy nie jest, oczywiście, budowanie systemu, lecz poprostu zgromadzenie w porządku abecadłowym możliwie wyczerpujących informacyj. Dzieło jest owocem trudów Polaka, przeto Polsce poświęca się tu największej uwagi. Są więc obszernie omówione pojęcia, zwyczaje, instytucje i urządzenia prawne Kościoła katolickiego, oraz historja życia religijnego w Polsce. Tak pomyślane dzieło ma wszelkie pożądane walory, i należy sądzić, że znajdzie licznych i chętnych nabywców. Zasłużona firma M. Arcta, wydaje je zeszytami, przez co ułatwia znacznie możność nabycia.

Wiktor Przecławski.

Konfiskata Pitigrilli'ego?

Opinje o utworach Pitigrill'iego są podzielone, jedni twierdzą, że Pitigrilli jest typowym pornografem, drudzy stawiają go obok najwybitniejszych pisarzy współczesnych i nazywają go nowatorem literatury erotycznej. Prawda jest, jak zazwyczaj, pośrodku. Pitigrilli, który pierwszy zdobył sztukę zainteresowania czytelnika, jest pisarzem frywolnym, śmiałym w ujmowaniu tematów drastycznych i bezwzględny, w wyławianiu rozmaitych śmiesznostek życiowych. Najsłuszniej osądziła go krytyka włoska, nazywając go Boccaciem naszych czasów, przez co chciała właśnie podkreślić, że w każdym razie jest to pisarz z talentem, a nie pornograf. Temu stanowisku krytyki włoskiej należy też przypisać, że władze włoskie nie starały się nawet zapobiec rozpowszechnianiu utworów Pitigrilli'ego we Włoszech.

Nakładem Wydawnictwa Alfa ukazały się dotychczas w przekładzie polskim trzy książki: „Luksusowe zwierzątka", „10 karatów dziewictwa" i ostatnio „Pas cnoty".

Otóż od kilku dni krążą uporczywe pogłoski, o mającej nastąpić u nas konfiskacie ostatniej właśnie książki Pitigrilli'ego p. t. „Pas cnoty". Czyżby to było możliwe?

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ JERZY RADLICZ

Czas odnowić prenumeratę na kwartał III-ci

Słońce — to zdrowie



Ćwiczenia mające na celu wyrobienie płynnego ruchu rąk w tańcu. Kto się potrafi oprzeć, gdy po takim treningu pani, poda kusząco swą rączkę do pocałowania?...

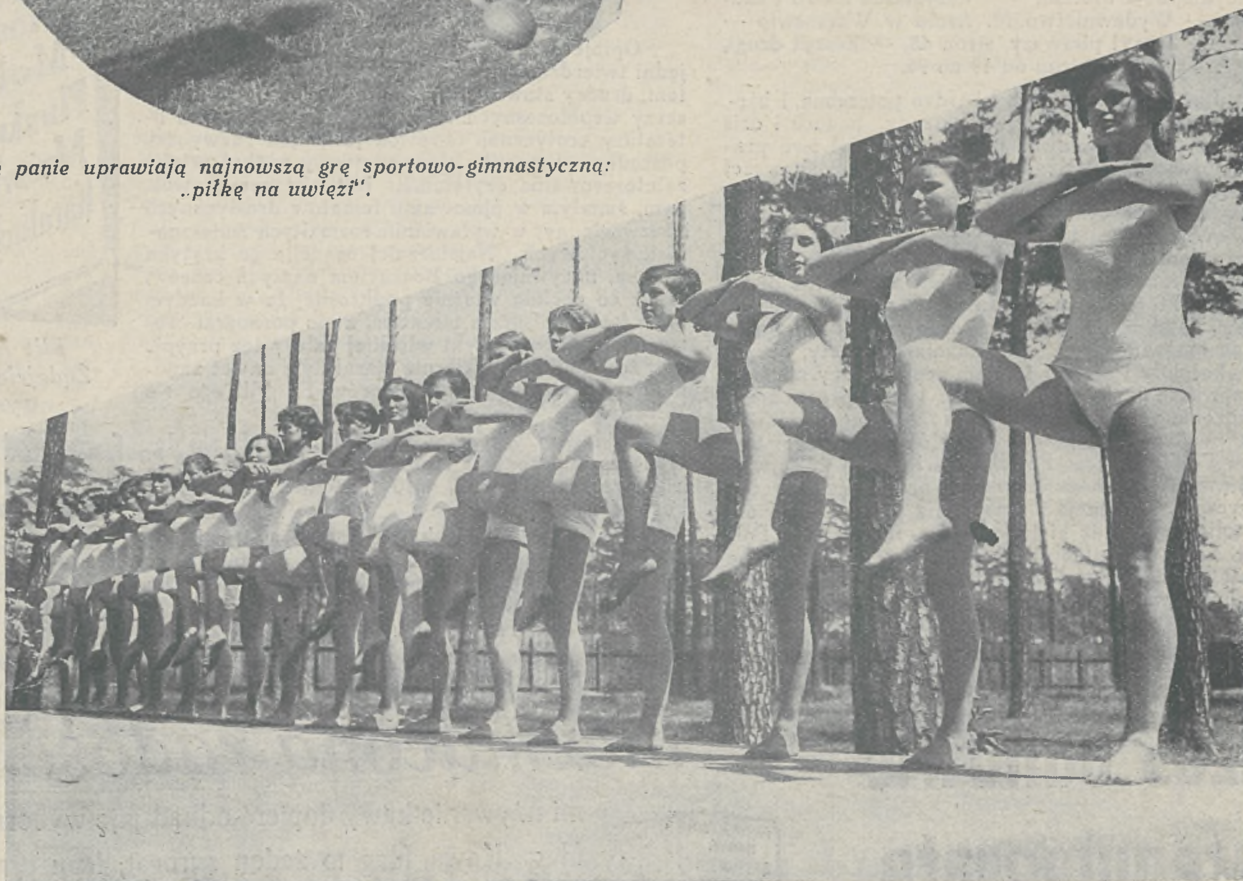


W niemieckiej szkole rytmiki plastycznej, wszystkie ćwiczenia odbywają się na wolnem powietrzu, które jest bezsprzecznym sprzymierzeńcem zdrowia



Piękne panie uprawiają najnowszą grę sportowo-gimnastyczną: „piłkę na uwięzi".





„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE i WILNIE

Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. wraz z przesyłką Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 35. Telefony 525-85 i 99-03. Konto P. K. O. 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty, są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe. Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Kierownictwo BOLESŁAW KARNISZYN. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 117-98 i 504-46